

[ Bykowski Piotr Jaxa ]

# URODZENIE.

DRAMAT W TRZECH AKTACH

PROLOGIEM.

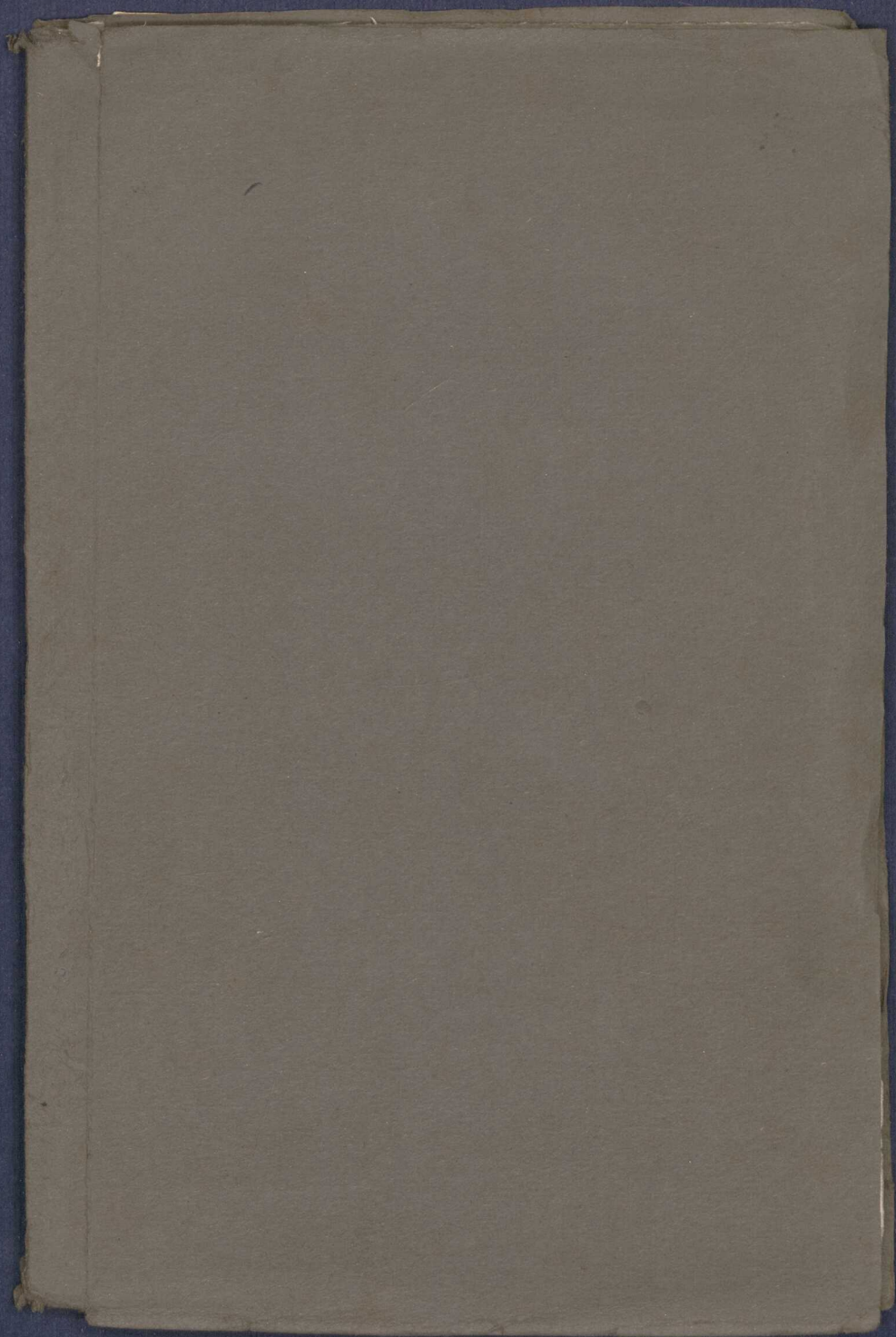
+ unty

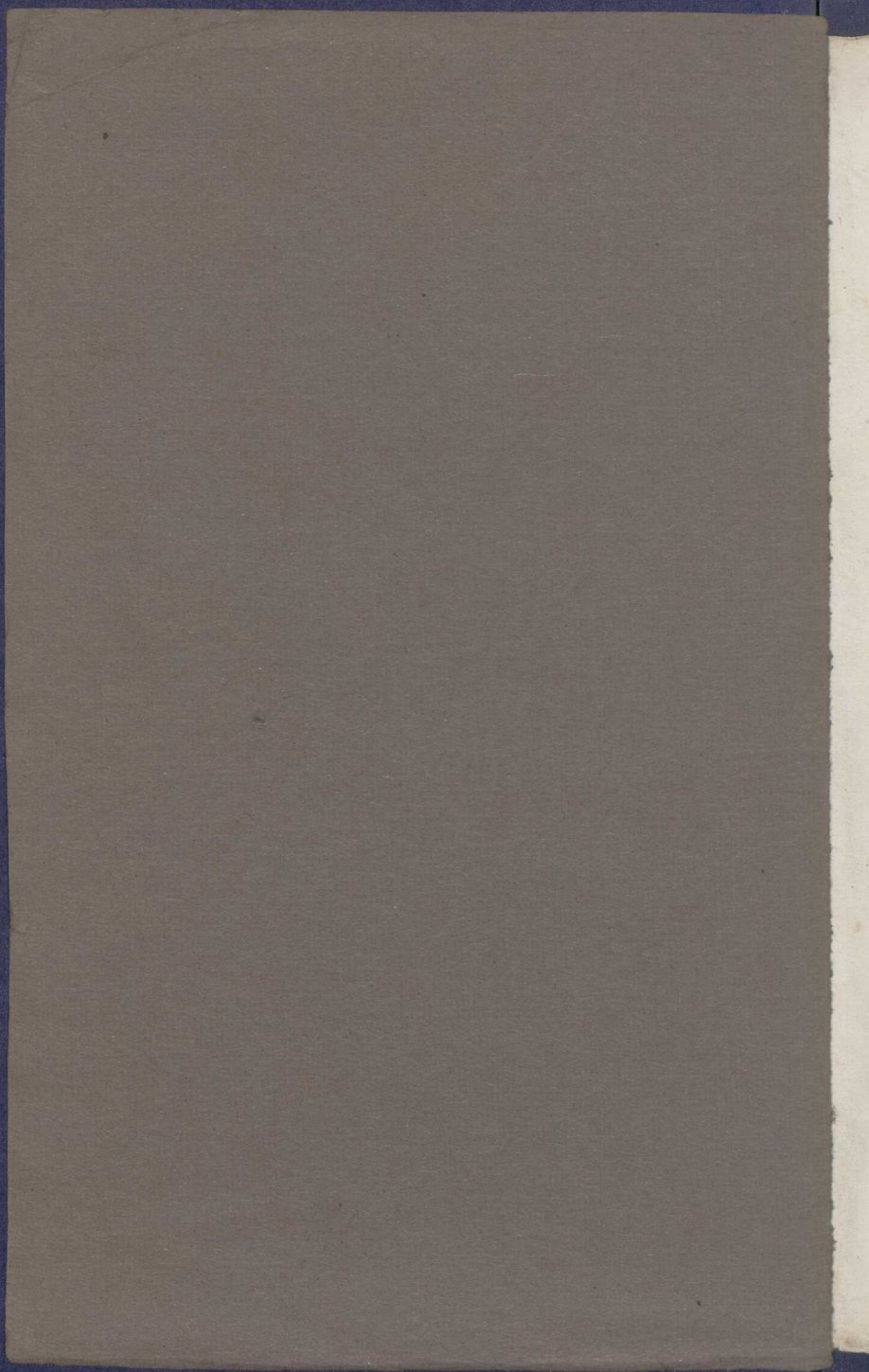
(Śpiew z muzyką Michała Zawadzkiego.)

POZNAŃ.

Czcionkami i nakładem Ludwika Merzbacha.

1860.





90

**URODZENIE.**

URODZENIE

[ Bykowski Piotr Jaxa ]

# URODZENIE.



DRAMAT W TRZECH AKTACH

z

PROLOGIEM.

+ nuty

(Śpiew z muzyką Michała Zawadzkiego.)

POZNAŃ.

Czcionkami i nakładem Ludwika Merzbacha.

1860.



13005321

Bibl. UAM  
84 K 269

## OSOBY W PROLOGU.

---

HRABIA PUZON, dziedzic.

DEROSKÓRSKI, ekonom.

PISARZ

SEMEN.

PAWŁO.

TODOR.

SEMENOWA

PAWŁOWA.

TATIANA.

Wieśniacy. — Wieśniaczki. — Dzieci.

Kozacy dworscy.

Rzecz dzieje się w roku 1828 w dobrach Puzona.

---

COBY W. PROLOGUE

## PROLOG.

---

Ulica na wsi, — chaty nędzne po obu stronach.

### SCENA I.

SEMEN. — PAWŁO.

SEMEN

(siedzi na przyźbie przed chatą sparty na kiju błdy i zamyślony).

PAWŁO

(podchodząc do niego niesie chleb i kartofle, — na plecach wiązkę drzewa).

Niech będzie pochwalony kumie Semenie, a  
czy zdrowo?

SEMEN (podnosi głowę).

Na wieki. — A to wy kumie Pawle — at, za-  
chcieliscie z takim zdrowiem.

PAWŁO.

No, i cóż kumie Bóg tak chciał, nie godzi się  
narzekać, a jak zechce to i pomiłuje. — Zkąd że  
już nam pomiłowanie jak nie od niego. — A zónka  
wasza? —

SEMEN.

Zawsze jednakowo — a taka zapobiegliwa że dziś już zrywała się do pracy, ale nieboga nie może się podźwignąć, ledwie przez izbę przelezie — takie to nasze zdrowie chłopskie, nic warte jak nie można pracować, to choć zdychaj z głodu.

(macha ręką.)

PAWŁO.

Jakoś nie damy wam przepaść, nie turbujcie się. — (dając mu chleb i kartofle i składając na ziemi drzewo.) Ot, macie na dziś, dałbym wam co lepszego, ale Bóg świadkiem że niema w chacie, dzielę się czem Bóg dał. —

SEMEN.

Bóg zapłać kumie Pawle. (ociera łzę rękawem.) Hej! hej! żal się Boże... sumno pomyśleć, że Semen pierwszy gospodarz we wsi zeszedł na żebraka.

PAWŁO.

A pewnie w chacie ogień nie naniecony, to moja przyjdzie tu zaraz rozgospodarować się a teraz poszła do Porachowój może dla was u niej kurkę wymani, bo dla waszój bobiety z dzieckiem trzeba posilniejszej strawy — a coś i wy Semen do sił nie przychodzicie? —

SEMEN.

O, gdzie już te siły, bodaj czy kiedy wrócą?... ot nie doczekał człek starości a już u gromady na łasce.

PAWŁO.

Co wy téż kumie pleciecie, a cóż to za łaska? A któż to przed rokiem jeszcze nas wszystkich ratował jak rodzony ojciec? Kto na przednowku dawał zapomogę? Kto bywało do-orał do-siał ludziom o swoich siłach, jak nie wy? — Ta sam paroch nazywa was naszą opatrnością, a i teraz co święta pyta o was i nakazuje nam, nie opuszczać was. — Ej kumie, wy się nie smućcie, jak-ós Bóg tak jak wszystko prędko zabrał, tak wszystko prędko powróci. — Jego w tém święta wola. — A wiecie że cała gromada szczerze was żałując, nie może pojąć, a w głowę zachodzi przez co wy tak podupadli? — Wy to ani na muzykę, ani na gorzałkę, ni tak gdzie przemarnowali, zawsze z was był stateczny gospodarz . . . . gdyby grzech jaki na was śmiertelny, to myślałby człowiek że to dopust Boży.

SEMEN.

Ta już to nie inaczej dopust Boży, ta i pański razem — przed dwóma rok, za życia mojej pierwszej nieboszczki, było parę szkapek, kilkoro bydła; a obora, chlewnia i stodoła nie były puste — a jak sami wiecie był jaki taki zapas dla siebie i dla ludzi, gdy było potrzeba. Żona pierwsza umarła — ze sześciolatnim chłopcem nie mogłem

sobie dać rady w gospodarce, — ożeniłem się, wziąłem dziewczkę piękną, dobrą i gospodarną i ona by nieprzemarnowała — ale zachcieliście, poszło jak to mówią z Petrowoho dnia. — Pomorek zabrał bydło. — Stary pan umarł, młody wrócił z zagranicy, jał robić przemiary gruntów, nam podawał same moczary, że lemiesz z wodą na wierzch się wyciągał — podwoili prawie pańszczyznę i powinności. — Zamęczyła się reszta chudoby — została z całego dobytku jedna szkapka i kilkoro owiec — wilk zdusił konia, dwór zabrał owce za jakieś tam daniny — a jeszcze panu podobało się wziąć mego ośmioletniego Iwasia na usługi małego panicza, to choć by teraz było komu koło chaty pochodzić. —

PAWŁO.

Pono niezdobrować chłopu na świecie póki będą panowie i wilki! —

SEMEN.

Dalój ja zaniemogłem na propaśnicę już od roku prawie — a na naszą biedę żona przed dwoma tygodniami zległa. — Bóg nam dodał córkę do naszej nędzy — a wiadomo wam, że dawno już bym spuchł i umarł z głodu, gdyby nie łaska gromady; taka to ciężka nasza nędza.

---

## SCENA II.

Poprzedzający. — PISARZ, potem wieśniacy, później TODOR. —  
PAWŁOWA. — TATIANA.

PISARZ

(wchodzi z torbą borsuczą przez plecy, trzyma hułkę chłopską).

PAWŁO (postrzegając go — n. s.).

Już znowu kogoś zagrabił — co to za nowy  
pobor?

PISARZ (wołając):

Cóż to jest nigdzie nikogo — czy powyzdy-  
chali chamy?

SEMEN.

Oj nie daleko do tego!

PISARZ (woła):

Héj tam z chat wychodźcie! (z kilku chat wychodzą  
wieśniacy, wieśniaczki i dzieci.) Słuchajcie chamy — nasza  
Jasna Grafini powiła córeczkę!

KILKA GŁOSÓW.

Daj Boże zdrowie Jasnym Państwu i dziecióm.

PISARZ.

Cieszcie się chamy, bo nasze Jasne Państwo  
bardzo kontente — od dziesięciu lat, jak się po-  
brali Państwo, mieli tylko jednego panicza a bar-  
dzo sobie życzyli panny. — Najwyższy wysłuchał  
ich prośby i Jasna Grafini téj nocy szczęśliwie

powiła córkę. — Widzicie chamy, że Bóg z panami trzyma i zawsze panów wysłucha.

KILKA GŁOSÓW.

Ta ono to tak!

PISARZ.

Jasny nasz Graf zamysła wyprawić wielkie chrzcinę dla Jasnej nowonarodzonej, razem bal i polowanie — dla tego naznaczać raczy nowe daniny — rozumiecie!

JEDEN Z TEUMU.

A czy nas stać, ta już od tych danin my wyniszczeli do szczeru.

PISARZ.

Wyniszczeli?... chamy.... a cóż to was tak zdzierają czy co? Popatrzcie no u pana Cięgi w Żwirowie ile biorą, to dwa razy więcej — a dają chłopcy, bo tam inny rygor.

PAWŁO.

A no za toż ile ze Żwirowa na każdym prazniku dziadów z torbami, już tam połowa wsi poszła na zebranię.

PISARZ.

Ja cię tu nauczę rezonować. — Wyżebrzą a oddadzą, bo poczciwy lud nie taki krnąbrny jak wy. — Cóż to, czy to tak wiele obciążają was — teraz parowy da tylko....

JEDEN Z TEUMU.

Gdzie u nas parowy, już ich dawno wyparowali na pieczaków.

TODOR (wchodzi bez swity).

Panie pisarzu, też to jeden odziewek na całą chałupę — (wskazuje na switę, którą trzyma poborca). Zlitujcie się — idzie pod jesień w czemże wyjdziemy na pańszczyznę.

PISARZ.

Tak że mi cham — na pańszczyznę wyjdź sobie choćby goły, bo jak nie wyjdiesz to cię basy za-grzeją. — Cóż to ty zapomniałeś ile na tobie za-ległości przeszłorocznych? — grzyby, orzechy, motki, kury, jaja — a teraz z nowego poboru z okazji urodzin Jasnój Hrabianki, należy dwie kur i jaj dwadzieścia — będę ci się kłaniać he? Na gorzałkę was stać zawsze, a na powinności dworskie to się kulicie.

TODOR.

Gdzie mnie gorzałka, ja z żoną i z dziećmi od trzech dni chleba nie widzieliśmy.

PISARZ.

Nie rozpuszczaj języka, a jak mi nie zniesiesz wszystkiego do jutra to w dyby — i wy wszyscy, nie daruję ani jajka.

PAWŁOWA (wchodząc z Tatianą).

Niech będzie pochwalony diadko Semenie. — Pocziwa Parochowa przysyła dla waszój chorój kurkę, — a od Doški wzięłam sześć jaj. A jak się wasza miewa? (Poborca bierze kurę i jaja chowa do torby.) Zlitujcie się, taż to dla ich chorój kobiety.

PISARZ.

At!... pleciesz.... chora czy zdrowa mnie nie do tego, a dwór zawsze pierwszy — ja sprawiedliwy człowiek, kiedy to miało być dla Semena, kładę na jego rachunek, więc od niego należy tylko jedna kura i jaj czternaście — (do Tatiany, która trzyma kołacz w chustce) a ty, co tam masz w chustce?

TATIANA.

Spiekłam kołacz, bo nasz chleb z ościami i plewą za ciężki dla chorój.

PISARZ (chowa kołacz do torby).

Co dla dworu to dla dworu, a kołacz zda się dla pisarza. — No, muzyki jutro mi złożycie co do jednéj kury, lub dobioreę się do skóry. — (śmieje się.) Cha, cha, niedarmo człek chodził na poetykę.

PAWŁO.

I zedrzyjcie skórę, to już z nas nic nie dobędziecie, takoście nas obdarli.

PISARZ (śmiejąc się).

Nie rezonuj chamie gębaty, bo będą baty.

PAWŁO.

Oj śmieście się, śmieście się, my pod wasz śmiech krwawo się napłakali. — Ot byście zamiast kur, których nie mamy, nas samych wzięli na grafowską kuchnię, raz by się przecie nasza bieda skończyła.

PISARZ.

Poczekaj ty krzykaczu. — Oto pan ekonom nadchodzi, da on tobie.

### SCENA III.

Poprzedzający. — EKONOM, za nim KOZACY.

EKONOM (wchodząc, do pisarza).

A acan tu?

PISARZ (z uszanowaniem).

Wedle nowego poboru Jasny rządco.

EKONOM (d. s.).

Gładki chłopak zna się na intytulacyi. — (głośno)  
Sprawże się acan dobrze i wyexekwuj co do jajka.

PISARZ.

Stanie się wedle rozkazu Jasnego rządcy.

EKONOM (do Semena).

Słuchaj no Semenie — dwór Jasnego Grafa zwraca na ciebie szczególnie łaskawą uwagę.

SEMEN (klaniając się do ziemi)

Łaska Boża taj pańska.

EKONOM.

I przeznacza twoją żonę za karmicielkę nowonarodzonej Jasnej Hrabianki — to jest krótko mówiąc twoja żona pójdzie zaraz do dworu na mamkę, tylko żwawo, bo Jasna nowonarodzona raczy płakać z braku pokarmu.

PAWŁO.

U nas cała wieś płacze z głodu.

SEMEN (załamując ręce).

O Boże! jeszcze ten cios zsyłasz na nas.

PISARZ (do ekonoma ukazując Pawła).

Proszę Jasnego rządcy, ten zuchwały muzyk, buntuje całą gromadę i wbrew rozkazom Jasnego Grafa odzywa się zuchwale.

EKONOM.

Odpowiesz mi skórą za swoje gardło — jak będę odchodził poprowadzić go. (Kozacy stają przy Pawle, do Semena.) No wołaj żonę żeby szła za mną.

SEMEN.

Panie rządcu — to ona ledwie zwlecze się z pościeli, obaczcie panie sami.

## EKONOM.

Daremne gadanie. — Judka cyrulik powiedział że ona najlepsza za mamkę i najurodziwsza, bo Jasna Grafini życzy sobie żeby mamka była razem przystojną. — Odrazu stul gębę, bo to wasze chamskie wykręty; ponieważ Judka mówił że ona może, niech się więc wybiera i kwita.

## SEMEN.

Judka raz przychodził tylko do mojej żony i to przed słabością jeszcze, więc nie przyszedł bo nie mieliśmy mu co dać — i nie widział żony po chorobie. Ach panie obaczcie sami, bo żyd mści się za to, że mu nie dałem chustki mojej żony, której się naparł, bo trzeba ją było zastawić u arendarza za sól dla chorój.

## EKONOM.

Łzesz chamie, bo Judka poczciwy żyd — płatny od dworu, a od was chamów nie nie wymaga.

## JEDEN Z TŁUMU.

Dobrze on zedrze nim co poradzi.

## EKONOM.

No Semenie miejże rozum, to inny by świeczkę postawił za takie szczęście.

## PAWŁO (n. s.).

Chyba djabłu.

EKONOM.

Uważaj no co to mamka we dworze, czego jój tam nie dadzą, będzie miała spodnicę, korale, nie bez tego żeby coś i tobie nie kapnęło. Ot ja naprzykład z mego stanowiska, daruję ci na raz połowę wyznaczonego poboru.

PISARZ.

A z tamtym licząc co mam w torbie, dodasz tylko cztery jaj i kwita. — Podziękujże Jasnemu rządcy.

SEMEN.

Ależ panie uważcie w miłosierdziu waszem, któż naszą nieszczęśliwą dziecinę wykarmi; chcecie ją osierocić ledwie narodzoną? miejcie litość.

EKONOM.

Mniejsza o to, byleby Hrabiankę było komu karmić — a nareszcie muszą być na wsi położnice, jedna, druga pokarmi trochę.... czy to chłopskiemu dziecku tyle potrzeba? — jakoś to się samo wychoduje.

---

## SCENA IV.

Ciż i HRABIA, za nim lokaj w bogatej barwie, potem SEMENOWA.

(Wszyscy kłaniają mu się do ziemi.

HRABIA.

Cóż to acan sobie myślisz panie Deroskórski, kazałem żeby natychmiast była mamka, acan perorujesz kiedy Hrabina i Hrabianka niecierpliwą się tymczasem.

EKONOM.

Alboż to można Jasny Grafie, z tymi chamami co po ludzku skończyć.

SEMEN (padając do nóg Hrabiemu).

Jasny panie ulitujcie się, moja żona ledwie własne dziecko może wykarmić, a do tego ona taka słaba; to dla niej śmierć rozstać się z dziećciem.

HRABIA.

Mój kochanku, nie pojmujesz nawet twego szczęścia.

SEMEN.

Oj szczęście Jasny panie, że matka umrze z żalu, a dziecko z głodu, — bo któż tę biedną dziecinę wykarmi?

HRABIA.

Mój kochanku dość tych próżnych słów —  
(do Ekonomy) Jeżeli za powrotem do pałacu nie zastanę mamki, acan stracisz obowiązek.

SEMEN (z rozpaczą ściska nogi Hrabiego).

Jasny panie, już mój chłopczyna we dworze,  
nie osierocajcie mnie.

HRABIA.

Chłopcu twemu dobrze przy paniczu, bardzo  
pojętny, sam wyuczył się czytać — może z czasem  
wyjść na człowieka — twoja żona będzie razem  
z pasierbem — dziwi mnie że niechcesz pojąć  
swojego szczęścia; z czasem jak zrozumiesz bę-  
dziesz mi wdzięczny że twoja chłopka wykarmi  
Hrabiankę — wstań mój kochany daj pokój — (chce  
go podnieść).

SEMEN (czolgając się u nóg Hrabiego.)

Jasny panie, dla was tyle mamek na świecie  
za wasze pieniądze, a moją biedną dziecinę któż  
wykarmi?

SEMENOWA.

(blada drżąca zataczając się od płaczu i niemocy, wypada z chaty, rzuca  
się do nóg Hrabiego.)

Panie zabijcie raczej moje dziecko, moją Olanę  
razem ze mną, niż go macie odrywać od piersi  
matczynéj.

HRABIA (nieukontentowany do Ekonoma).

Acan mi to narobiłeś téj kabały przez swoją  
niezręczność. (do Semenowéj) Pomyślimy o dziecku —  
panie Deroskórski daj im acan dojną kozę dla  
dziecka — a natychmiast spełń rozkaz (odchodzi  
spiesznie).

PAWŁO.

Ma tyle kóz — czemu trzeba mu chłopki na wykarmienie jego dziecka? Boże miłosierny! czy to jego dziecię inaczej poczęte jak chłopskie?

EKONOM (do kozaków).

Semenowę natychmiast odprowadzić do dworu.

SEMENOWA (załamując ręce).

Ach doniu moja! moja Olano!.... na cóż ty się narodziła — (pada zemdlona — Wieśniaczki ją podtrzymują).

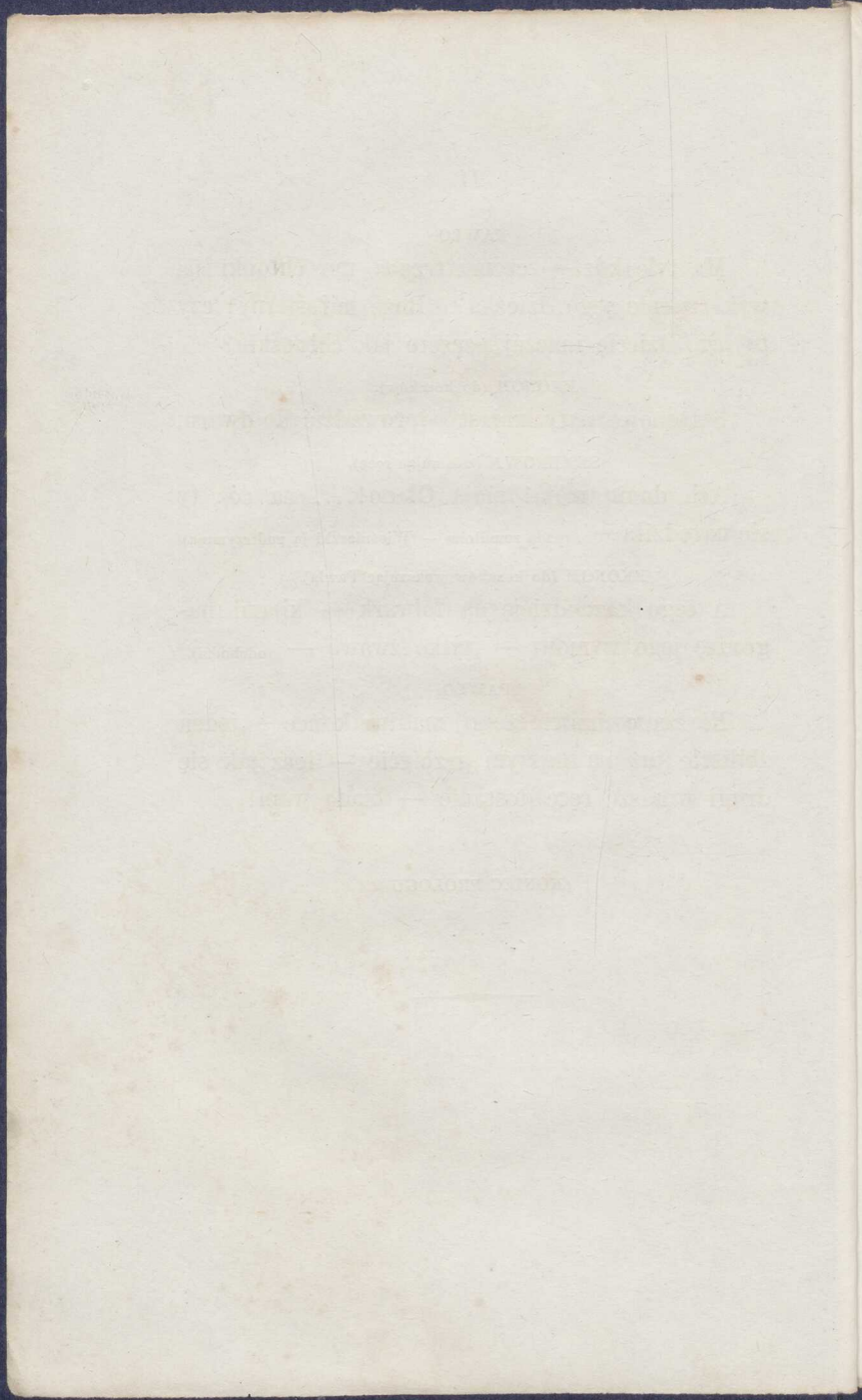
EKONOM (do kozaków wskazując Pawła).

A tego kaznodzieję na folwark — kijami nagrodzę jego wymowę — tylko żwawo — (odchodzi).

PAWŁO.

Nie zapominajcie że kij ma dwa końce — jeden zbiliście już na naszym grzbiecie — lecz jak się drugi w nasze ręce dostanie — biada wam!

KONIEC PROLOGU.



# AKT PIERWSZY.

---

## OSOBY.

HRABIA PUZON, marszałek powiatowy.

HRABINA.

JULJUSZ, ich syn, lat 23.

JAN, lat 24.

HELENA, lat 17.

DEROSKÓRSKI, ekonom

LUDZKOWSKI.

DUSICKI.

SZCZUPAKIEWICZ.

NAHAJEWSKI.

JUCHTYM.

SŁUŻĄCY.

Dzieje się w domu Hrabiego.

---

Gabinet Hrabiego bogato przybrany i dobrze oświetlony.  
Na stole papiery, portrety olejne na ścianach.

## SCENA I.

HRABIA. — EKONOM.

(Hrabia rozparty w krześle. — Ekonom stoi u drzwi.)

HRABIA (d. s.)

Najechało ich u kata, więcój niżeli się spodziewałem — o toż to być marszałkiem! trzeba

znosić tę hołotę, z których pięciu ledwie wydażą na sto dusz czyli na jedną wyborową króskę —  
(do ekonoma) Zwróć acan uwagę na to, że gości mamy półtora raza tyle niż spodziewaliśmy się; w kuchni żeby nic nie brakło.

EKOM.

Uskuteczni się Jasny Grafie, ma się na wszystko pilne oko, pozbierało się drobiu, jaj, a na wypadek gdzie co można było — ja nie zaśpię Jasny panie.

HRABIA.

Uważaj acan żeby było honeste — suto. —

EKOM.

Albo to mnie pierwszy raz Jasny panie, to się rozumie po grafsku, po marszałkowsku.

HRABIA (uradowany).

Tak! tak.... Deroskórsiu na honor urodziłeś się na ministra.... tak niech pamiętają szlachetki pańskie przyjęcie.... niech cały powiat oblize łapy jak marszałek nakarmi.

EKOM.

Po królewsku Jasny Grafie.... chciałem jeszcze Jasnemu panu powiedzieć, że u Juchtyma zdechła krowa.

HRABIA.

Cóż mi tam do tego, wziąć skórę do dworu.

EKONOM.

To rozumie się Jasny panie.... został jednak spory i tłusty cielak, którego na wypadek wzięło się do kuchni.

HRABIA.

Bardzo słusznie ciele bez krowy sierota, a wiesz acan że już to mój zwyczaj sieroty brać do dworu. A słuchajno acan, uważaj żeby się nie zapijali dworscy, niewadziłoby przetrzepać tylko bez hałasu, żeby goście nie wiedzieli.

EKONOM.

Niech Jasny pan spuści się na mnie — wszystko będzie dobrze.

HRABIA.

Polegam na tobie jak na Zawiszy; no teraz idź.

EKONPM.

Chciałem jeszcze zapytać Jasnego pana względem owsa?

HRABIA.

Cóż takiego?

EKONOM.

Czy nie raczyłoby się zdawać Jasnemu panu aby owsa niedawano gościnnym koniom, tak jak to bywało za nieboszczyka Grafa, i już za Jasnego pana. —

HRABIA.

Zdaje się z acana pojętny człowiek, a tego nie możesz zrozumieć że wszędzie to bydz może, ale nie u marszałka — Wszak że masz assygnacyę na gościnny obrok.

EKONOM.

Tak Jasny panie, ale jest przeszło sto koni, a na dni parę dziesięć korey, to jak by w głowę nie zachodzić nie można obdzielić.

HRABIA.

Jaki acan głupi — spreperować tak żeby wystarczyło.

EKONOM.

Preperuje się Jasny panie, ale zawsze....

HRABIA.

Puścić obydwie sieczkarnie, masz tam acan, dość plewy i pośladu.

EKONOM.

Pojmuje się Jasny panie... ale i tak już furmani nie chcą brać.

HRABIA (żartobliwie).

Deroskórsiu głupiejesz na starość — a po czemu owies na targach? —

EKONOM.

Najwięcej pa półpięta złotego na dużą miarę Jasny panie.

HRABIA.

Więc na propinacyi sprzedawać po pięć na tę miarę . . . . co to wiesz?

EKONOM.

Pojmuje się Jasny panie.

HRABIA.

A cokolwiek tak, tylko nie bardzo (pokazuje palcem jakby co mieszał w naczyniu) powinno nam wyjść na sześć złotych. — Na bułce można podnieść grosz na wódce trzy grosze. —

EKONOM.

Jasny Grafie, aż mi wstyd przed państwem że ja stary praktyk zjadłem zęby na gospodarstwie, a mnie to do głowy nie przyszło. — Już to Bogiem a prawdą mówiąc, że u Jasnego Grafa takie koncepta, że nikt w całej Gubernii nie pochwali się.

HRAB' A (uradowany).

A co stary, a widzisz? Ja ci powiem przejdź cały świat, w żadnej akademii nie nauczysz się tak ekonomii politycznej jak u mnie.

EKONOM.

Co to istotnie Jasny panie mówiąc bez pochlebstwa, że w ekonomice ja nie wart za Jasnym Grafem harapnika nosić.

HRABIA (trzepiąc go po twarzy).

Ach, ty stary wyjadaczu, ja dopiero ciebie na dyplomatę wykieruję. — No, ruszaj że teraz i pamiętaj że na tój łysój głowie spoczywa wielkość marszałkowskiego przyjęcia.

EKONOM.

(Ściskając go za kolana odchodzi).

## SCENA II.

HRABIA (sam).

Nieoceniony łajdak! sprytna bestya.... musi mnie tam kraść, nie bez tego, ale za to z pod ziemi dobędzie co dobyć można — (rozpiera się w krzesle). A co szlachta, poznajcie teraz co to Hrabia marszałek? przyjęcie sute, dostatek wszelki, wszystkiego w bród. — Nieco za dużo napchało się, tój kolokatorskiej hołoty.... — zawsze mają oni swój wpływ na wyborach choć kresek nie dużo, ale za to najwięcej gardłują.... także to u nich i kredyt najdłużej trwa — prawda że to kapaniną po 200 po 500 — ale ziarnko do ziarnka.... Na-reszcie szary koniec wszędzie potrzebny.... za nadto ciągną, szczęściem że przy ochocie do kielicha, nie wielecy znawcy na lafitach i szamber-tenach, a raz podochociwszy, wołoszyn wezmą za

małmazije — (ziewa i przeciąga się). Ot!.. tak!.. jest urodzenie... tytuł... urząd... majątek... są wprawdzie i długi... ba?... a któż to ośmieli się pozywać powiatowego marszałka? — (ziewa coraz więcej i marzy jak by zasypiał). Wybory niedaleko... wakans na gubernskiego... kto wie? tymczasem Juliusz ożeni się, weźmie posag on także Hrabia... córka Hrabianka... wszystko dobrze! — (Zasypia na chwilę — potem mówi przez sen) Prosimy jednogłośnie na naszego reprezentanta... Hrabiego prosimy — (Zrywa się zawsze przez sen kiwa głową na wszystkie strony) panowie bracia wasza prośba zniewala mnie poświęcić się!... (urywa — budzi się. Zdrzemnąłam... miły sen... a cóż jak się sprawdzi — (przysłuchuje się do drzwi — przeciera oczy). Zdaje się idą tu. — Siada prędko przy stole wkłada okulary, przeziiera papiery; udając że w nich się zagłębia.)

---

### SCENA III.

HRABIA. — LUDZKOWSKI, — DUSICKI. — SZCZUPAKIEWICZ  
i NAHAJEWSKI — (wchodzą razem).

DUSICKI.

Skończyliśmy robra oddawna, i czekamy na piątego, myśleliśmy że wychodzący zaszedł aż do poduszki.

HRABIA.

(Jakby wyrwany z ciężkiego zamyślenia ich przyjsiem.)

Przezacni współobywatele bawią się, a czuwać jest świętą ich przestawiciela powinnością — (n. s.) Szkoda że ich tu więcej niema, za taki frazes kreski na wyborach gradem się posypią — (głośno). Tak w obecnym czasie my obrońce wasi nie możemy zasypiać (ukazując na papiery). Nadesłał mi sekretarz z miasta, nie macie wyobrażenia co to za ucisk — muszę was bronić... o tak, czuwać i czuwać... moi panowie.

DUSICKI.

A to znów pewnie o tych tam muzykach?

LUDZKOWSKI.

Już to jak tam sobie chcesz moja duszko, ale już podobno nie będzie muzyka — (wzdycha). Haj! haj! już po muzyku, przepadł na zawsze.

NAHAJEWSKI.

Co to za gadanie? przepadł łatwo powiedzieć; lecz każdą rzecz brać trzeba logicznie — ja na téj zasadzie zapytam was — czy panowie zawsze będą? —

LUDZKOWSKI.

Moja duszko panowie... diabła warci tacy panowie bez muzyka.

NAHAJEWSKI.

Zbijasz kwestye nie na logicznych zasadach, a ja właśnie dążę do syllogizmu — a chcę wam dowieść jak dwa a dwa cztery, że póki będą panowie dopóty musi być pańszczyzna, bo to słowo ma derywacją etymologiczną od słowa pan — a to uważacie w ten sposób: pan czy zna ztąd pańszczyzna — to jest, pan czy zna co mu się od chama należy — więc póki pan będzie miał rozum będzie to znał — vide licet — póki pan będzie miał rozum do bronienia praw swoich, póty będzie pańszczyzna.

WSZYSCY.

Brawo, brawissimo.

LUDZKOWSKI.

Moja duszko, a niechże cię uściskam, żeby to tak wszyscy nasi rozumieli, to byłaby rzecz — nie darmo ty chodziłeś do liceum.

HRABIA.

Wiadoma rzecz, że głowę na karku noszę nie dla proporcji, kiedy mam honor być waszym reprezentantem... mój sekretarz Rozembowski to fines polityk... ale niech się wszyscy schowają jak się ta bestya odezwie.

SZCZUPAKIEWICZ.

Już jeżeli kto w okolicy... co to w okolicy?.. w trzech guberniach, tak logicznie wyreassumuje rzecz jak Nahajewski, to niech mnie djabli wezmą zaraz mu dam wilczatego z kulbaką. — Wiesz co marszałku, każ na tę intencję dać tego brodzkiego likworu.

HRABIA (dzwoni — do wchodzącego służącego).

Likworów! — (służący odchodzi i za chwilę przynosi likwory.)

DUSICKI.

Wiecie że syllogizm Nahajewskiego nie bez pewnej zasady — wszelako w obecnym czasie kiedy myśleć mamy o ulepszeniu bytu naszych włościan, koniecznemi są niektóre z naszej strony poświęcenia rozumie się...

LUDZKOWSKI.

A co widzisz moja duszko, taki wyszło na moje, jak tylko trzeba poświęceń, to już po muzyku... dobrze mówiłem — a co? —

DUSICKI.

Nie przerywaj — rozumie się powiadam, poświęcenia takie, któreby się obeszły dla nas bez najmniejszego uszczerbku, a dla nich były z widoczną korzyścią. —

(SZCZUPAKIEWICZ (pijąc likwor).

Niech mnie djabli porwą, tak ja nic a nic nie rozumiem — poświęcenie dla jednych bez uszczerbku, a dla drugich z widoczną korzyścią — to tak niby, jakbym ja tobie darował wilczatego, a przez to sam na nim jeździł póki niezdechnie. —

LUDZKOWSKI.

Otoż to tak moja duszko, w tym guście poświęcenie jak Szczupakiewicz stosuje do wilczatego to ale — (do Dusickiego.) Mów no duszko dalej jeżeli to tak jest... a no, to cóż byśmy poświęcili tak z lekka, naprzykład?

DUSICKI.

Naprzód należy zwrócić uwagę, że są rzeczy, które właściciel ziemski dawał dotąd włościaninowi, bez żadnej materialnej zapłaty ze strony tego ostatniego, a tylko-li za wynagrodzenie czysto moralne, filantropicznego zadowolenia; — temi zaś są staranie o byt, moralność, zdrowie, zachowanie własności i wiele innych. —

HRABIA.

Wybornie, wyśmienicie, — to się nazywa wpaść na trop — rozwinięcie tego tematu zaspokoić powinno wymagania za nadto filantropiczne dzisiejszych demagogów — zapatrzmy się ze stanowiska ekonomii politycznej na to, co Dusicki wymienił:

wszystko to jest kapitałem wydawanym przez właścicieli ziemskich bez najmniejszego procentu, kapitał który przy tak ważnej okazji podnieść musimy. —

NAHAJEWSKI.

Nie przeczę że zrealizowanie tej pożyczki moralnej jeżeli tak nazwać można, z korzyścią użyte być może i powinno w kwestii obecnej, jednakże samo założenie tej kwestii wymaga ofiar więcej widocznych i dotykalnych. —

DUSICKI.

Tak i ja sądzę, że bez takowych się nie obejdzie.

LUDZKOWSKI.

A co moja duszko, a to moje nieszczęście i ty już widzę z nimi trzymasz — otoż są już i ofiary... ale moja duszko cóż ja ofiaruję sam nic nie mając?

SZCZUPAKIEWICZ.

Niech mnie djabli porwą on niema... to kupiłyś nas wszystkich nie tylko z duszą i rewi-skami duszami, ale z wilczatym i kulbaką, których za psie pieniądze nie mam do zbycia.

HRABIA.

Czy nie byłyby dostateczne te moralne poświęcenia. — Bo istotnie cóż tu więcej można oddać... chyba ziemię, ale wprzód trzeba oszaleć.

DUSICKI.

Cha! cha! — A za kogoż to mnie macie? Moi panowie dotąd się nie domyślacie, co mamy na zaspokojenie założenia tój kwestyi?... Prawdziwie że was trzeba zawrócić do elementarzy, na których uczono was jeszcze o czterech elementach, właśnie z nich ziemia jest tym elementem który mamy bronić do ostatniego.

LUDZKOWSKI.

A wiesz co duszko ja się domyślam — dajmy im ogień i powietrze.

DUSICKI (śmiejąc się).

Oto już dogodziłem Ludzkowskiemu. — Ale wróćmy do rzeczy: istotnie woda moi panowie. — Czyją wodę pije włościanin!... w czyjejże wodzie pierze się jego koszula, poi się jego bydło, pławią się jego gęsi i kaczki? jakież za to wynagrodzenie ma właściciel tój wody? Może powiecie to, że konsument to źródło dobywa, staw oczyszcza, groble utrzymuje — za toż liczą mu się szarwarki — a za używalność pytam, jakież jest wynagrodzenie?

LUDZKOWSKI (rzuca się w jego objęcia).

A moja duszko kochana co to jest racjonalnie powiedzieć — Otoż jak mówią, dopiero trafił w sedno — co to wilk syty i koza cała. — Jak Boga

kocham, moja duszko gdybyś był w Londynie to by cię obrali na Palmerstona.

SZCZUPAKIEWICZ (zrywając się z krzesła).

Już też pozwólcie sobie panowie powiedzieć że nikt z was tego nie dowiedzie żeby na moim gruncie, nie było także i moje powietrze — a dla czegoż niech mnie djabli porwą, nikomu nie wolno wiatraków stawiać tylko dziedzicowi?

DUSICKI.

Nic nie mam przeciw temu tylko uważasz co jest — że używanie twojej wody możesz wzbronić — a powietrza.

SZCZUPAKIEWICZ.

A! prawda masz rację.

HRABIA.

Poświęcając nakoniec wodę, rozumie się za stosowne wynagrodzenie, w rzeczy samėj więcej dajemy niżli dać można — bo zważywszy do tego moralne poświęcenia, które opłacamy własną kieszenią — naprzykład zdrowie chłopów — zapytuję ile z nas każdy łoży na to kosztów?..

SZCZUPAKIEWICZ.

Ja mam Węgrzynka konowała przy stajni, niech mnie djabli porwą, doskonale zna się na medycynie. —

HRABIA.

A dalej byt moralny, zachowanie własności....

---

**SCENA IV.**

Poprzedzający. — JUCHTYM.

JUCHTYM.

(Wechodzi z płaczem, kłania się do ziemi)

Jasny Panie!.. Zmiłujcie się...

HRABIA.

(Pomieszany robi znaki Juchtymowi aby milczał, zaciskając pięście stara się go zagłuszyć.)

Dobrze... dobrze... mój kochanku już wiem...  
wiem. —

LUDZKOWSKI.

A to co moja duszko?

HRABIA (n. s.).

Djabeł nadał... a łajdaki — (głośno — jękając) to jest... uważacie... taka okoliczność (wpada na myśl). Uważacie nieborak traci żonę... podczas kiedy tu balujemy u niego trzech doktorów. — Widzicie teraz dowodnie jakiej wagi jest punkt co do zdrowia włoscian — (do Juchtyma). Mój kochanku bądź spokojny, zaraz ja sam pójdę — (n. s.) bodaj cię djabli wzięli.

JUCHTYM.

Zmiłujcie się Jasny Grafie, to ostatnie...

HRABIA (pomieszany zagadując).

Tak to ostatnie... to jest ostatnia żona.

(Muzyka gra polkę za sceną.)

DUSICKI.

Nieprzeszkadzamy Hrabio twoim szlachetnym zatrudnieniom — Oto macie moi panowie, wzór ludzkości odrywa się od zabawy, a chorych nawiedza.

SZCZUPAKIEWICZ.

Słyszycie grają polkę, chódźmy poskakać (odchodzą).

HRABIA (do odchodzących).

Wychodzący z kolei, raczy mnie w grze zastąpić — ja zaraz wam służę... Uf!... przecie odeszli.

## SCENA V.

HRABIA, — JUCHTYM.

HRABIA, (przystępując groźnie do Juchty).

Będiesz mnie napadał i wrzeszczał tu kiedy mam gości. — Czy wiesz ty chamie co cię za to czeka?

JUCHTYM.

Jasny Grafie, wielkaż mi się stała krzywda, ostatnią cieliczkę z całej chudoby, chowałem po zdechłej krowie na podatek i pan ekonom zabrał do dworu.

HRABIA.

Bardzo słusznie, wiadomo wam że u mnie wszystkie sieroty biorą się do dworu, cóż to nie rozumiesz że na téj zesadzie wzięto twoje ciele? — A za to, że mnie śmiesz nachodzić bez meldunku będziesz ukarany — (dzwoni — do wchodzącego służącego,) Ekonoma! (Służący odchodzi.)

JUCHTYM.

Ja Jasny Grafie wypłaciłem wszystkie pobory, nic nie winienem do dworu.

HRABIA.

Co to nie winien do dworu? Zawszeście winni i nigdy nie opłaciecie dobrodziejstw dworu dla siebie — ja ciebie nauczę co to znaczy takie zu-chwalstwo — wzięli ciele, bo się tak należało, a wasza chamska rzecz milczeć.

## SCENA VI.

Poprzedzający, — EKONOM.

EKONOM.

Jestem Jasny Grafie. —

HRABIA.

Oto masz acan, twoją pilność... wpuścili tu do mnie tego łotra, narobił mi skandalu. — A mówiłem acanu, przetrzepać ich tam w przedpokoju.

EKONOM.

Wszystko się miało skutecznie Jaśny panie,  
ale na chwilę musiałem zajrzeć na folwark.

JUCHTYM.

Niech już biją Jasny Grafie, jeżeli wasza łaska  
— ale to cielątko na podatek, a z drobnymi dzia-  
tkami przy ciągłej pańszczyźnie nie jesteśmy w sta-  
nie zarobić. — Panie my pomrzemy (płacze).

HRABIA

(robi Ekonomowi znak żeby go wyprowadził).

EKONOM (wyprowadzając Juchtyma).

Nu!.. chامية marsz naprzód, zaraz ja tu tobie  
pokażę, co to znaczy nachodzić Jasnego pana. —

## SCENA VII.

HRABIA (sam).

Podłe płaksive chamskie plemie!.. o ma! mnie  
nieskompromitował ten łajdak.

## SCENA VIII.

HRABIA, — HRABINA (bogato ubrana).

HRABINA.

Co tu za hałas? jakieś lamenty słyhać było  
aż w sali balowej, zaraz kazałam grać muzyce  
żeby zagłuszyć.

HRABIA.

Przytomnie się znalazłaś chère comtesse.

HRABINA.

Co to ma znaczyć?.. goście wrócili z tąd unosząc się nad dobrocią twojego serca, prawili coś o umierającej kobiecie, o trzech doktorach, tak, że niektóre szlachcianki sjałakały się... Cóż to za bajki?

HRABIA (wesoko).

Ha! bajki, ale miały powodzenie dość na tem — (uderzając się w głowę). Przyznaj chère comtesse, że twój mężulko w ciemie nie bity... opowiedziałem im jakąś sentymentalną historję — krótko mówiąc zrobiłem z kota nosorożca, wiesz jak to ja czasem umiem.

HRABINA (z umizgiem).

Ej! ty! ty!... filucie!

HRABIA.

Wyobraź sobie chère comtesse, to ten Juch-tym przeklęty, za jakieś tam liche ciele, które Deroskórski wziął na kuchnię... i to uważasz... od zdechłej krowy, narobił takiej wrzawy. — Powiedzze mi teraz, czy anioł wytrzyma z tymi chamami? —

HRABINA.

A trzebaż go było porządnie... (pokazuje giestem).

HRABIA.

Bądź spokojna, Deroskórski wziął go pod swoją opiekę.

HRABINA.

Już to powiem tobie że przy twojej łagodności i Deroskórski słabiej zaczyna — za nadto jesteś pobłażliwy.

HRABIA (zdziwiony).

Ja? ... pobłażliwy? ...

HRABINA.

Nie trzymaj dobrze w rękę tego chłopstwa, to nigdy nie będziesz miał spokoju, byle co zaraz jakies lamenta, szloch — jeszcze brakowało żeby tuptać koło nich jak koło tureckich koni — nie-stawało tego że byś dla nich bale wydawał. —

HRABIA.

Chère comtesse, nie rozumiem ciebie, prawisz jak z gorączki.

HRABINA (w gorszym humorze).

Alboż nie ma z czego dostać gorączki? Czy to nas tak bardzo stać na bale, wiesz to sam lepiej że w naszych interesach koniec z końcem się nie styka... po urzędujesz kilka lat, dasz takich kilka balow, a potem...

HRABIA.

A co ma chère, bal, przyjęcie pour la pompe, pour la distinction... szlachta w głowę zachodzi —

(z tryumfem) dziś już sześciu sieraczkowych prosiło mnie o lokację kapitałów... czy Hrabina to rozumie?

HRABINA.

Przekonana jestem cher ami, że w interesach twoja głowa wszystkiemu podola — więcej też jak kto inny pojdziesz, że takie koszta podejmować bez żadnych widoków, na samo przyjęcie tój hołoty, byłoby szaleństwem.

HRABIA.

Wszakże sama namawiałaś mnie do tego balu?

HRABINA.

Istotnie uważałam że to będzie nie od rzeczy... bo nasza Ewelka kończy lat siedmnaście, a Deputat choć hreczkosiej, ale ciepły szlachcic — a także myślałam że przy tój okazji Julek zbliży się do sędzianki... chociaż bez wątpienia są to mezalijanse dla naszych dzieci, — ale wiele ten czyni kto musi (wzdycha).

HRABIA.

Rozumiem cię chère comtesse... więc o cóż chodzi, niechże Ewelka poluje sobie na Deputata, a Julek na sędziankę, wszak nasze dzieci za-wiadomione o tych projektach... któż im przeszkadza?

HRABINA.

Dowiedz się kto przeszkadza... bo Deputat unosi się nad wdziękami i dowcipem Heleny... a sędzianka słucha rozumnych kazań twego faworyta muzyka — oto masz powygrzewałeś gądziny we własnem zanadrzu — za toż zaczynają niszczyć wszelkie nasze plany — nasze zachody i bal taki kosztowy na nic. — Julek do żadnej posażnej ani zagada, tylko lata za tą tam swoją... potrzebaż było to śmiecie umieszczać we dworze i przypuszczać do równości te chamięta?... masz czego chciałeś teraz dawajże dla nich bale — szukaj im losu.

HRABIA.

Zastanów się *chère comtesse*, żeśmy im dali edukacye, że są niejako dla kompanii dzieci, trudnoż ich przy téj okazji zostawiać w przedpokoju... w końcu dzieci same niezgodziły by się na to, tem bardziej Julek bardzo do Jana przywiązany. — Trzeba ci także wiedzieć, że to nawet teraz moda, według tych tam nowych liberalnych idei, żeby mieć to w domu, tak jak dawni panowie trzymali karłów, papugi, małpy. — A z resztą trochę *exagierujesz*, bo już też sędzianka nie pójdzie za Jana, a deputat nie ożeni się z Heleną... te się rzeczy nie praktykują — (krotofilnie) a jeżeli Julek

pobiega tam za tą dziewczyną i troszkę nią się pobawi, to jestem pewny że w czas się opamięta, z resztą te rzeczy powinniśmy młodym przebaczać.. w jego wieku sam nie byłem lepszym.

## HRABINA.

Jak tam sobie chcesz, ale ja z mojej strony nie zezwolę aby jakaś tam chamka psuła los memu dziecku... te gawrony co to nigdy nie widzieli chłopki w salonie znajdują w niej coś nadzwyczajnego... a co gorsza że Ewelka jakkolwiek starannie wychowana, ale jest... trochę... nieco... nie tak rozwinięta na swój wiek, ale z czasem i to przyjdzie. — Moja siostra Szambelanowa powiadała mi pod sekretem, że nasza Ewelka traci nawet przy niej i że nie powinnam pozwalać na tę emulację... ja w to nie wierzę żeby dobrze urodzona panna mogła tracić na porównaniu z chłopką... wszakże zawsze byłam przeciwna temu brataniu się komunistycznemu z chłopstwem, i nigdy sobie nieprzebaczę, że na to zezwoliłam — już to najwięcej ty Hrabio, przyczyniłeś się do tego przez powolność dla dzieci. —

## HRABIA.

Tak u nas dziwnie się rzeczy składają, że wszystkiemu ja jestem winien na końcu; ale pozwolisz sobie przypomnieć Hrabino, że się w to

nie mieszałem zupełnie aby Helenę przypuszczać do równości z naszą córką — jęj matka wykarmiła Ewelkę i dwa lata pobywšy we dworze umarła. Semen nie długo przeżył żonę — były nawet jakieś z tego plotki chłopskie na wsi, które Deroskórski ušmierzył po swojemu, ale to nie należy do rzeczy. — Jęj dwuletnią córeczkę Olanę, jako sierotę według zwyczaju wzięto do dworu i chowała się sobie tak do ośmiu lat między dworskimi, póki guwernantka Ewelki Baronowa Saint-Drip, podobawszy ją nie wzięła do swoich usług, a potem dla wzbudzenia emulacji w Ewelce nie zaczęła ją uczyć — z czasem jakoś między dziećmi zrównały się pozycye, sama przezwałaś ją Heleną, Ewelka do nięj się przywiązała — tolerowałaś to wszystko do dziś — a teraz ja mam być winien? —

HRABINA.

Nie idzie a to kto winien? ale to się dziś skończyć musi i każdy wróci na swoje stanowisko.

(Juljusz przechodzi przez pokój — Hrabina postrzegając go.) Bardzo à propos przychodzisz, zostań z nami na chwilkę bo tu właśnie rzecz idzie o ciebie. —

## SCENA IX.

HRABIA. — HRABINA. — JULJUSZ.

HRABIA.

Chère comtesse, będzie na to czas, nie odrywaj go teraz od zabawy.

HRABINA.

Zawsze będzie miał dość czasu bawić się z tą swoją chłopką. — Mój Juljuszu, pora już po temu abyś się opamiętał, i zwrócił nakoniec uwagę na twoje urodzenie i pozycję w świecie. —

JULJUSZ.

Zdaje się, droga Matko, że dotąd w niczem nieuchybiłem godności zacnego człowieka, ani dałem wam powód drodzy Rodzice rumienić się za mnie. —

HRABINA.

Zawsze jeszcze wyjeżdżasz ze swoimi akademickimi komunałami... Mój drogi godność człowieka to bardzo względne, inna jest godność jakiegoś tam chama albo szlachetki, a inna jest godność Hrabiego, arystokraty de sa naissance i Marszałkowicza. —

HRABIA.

Bardzo sprawiedliwie, chociaż może nie w tych terminach, ale nieraz ci to mój synu, powiadałem.

JULJUSZ.

Wybaczcie kochani Rodzice, ale na tym punkcie trudno nam się porozumieć.

HRABIA.

Wielka szkoda mój synu — co do mnie nie tracę nadziei że doświadczenie i potrzeba życia wyrobią w tobie inne zasady, te właśnie jakie twojemu urodzeniu przystoją . . . . tymczasem zaś to gadanie o równości, niezależności kast i t. p. nie pociągnie za sobą żadnych skutków — a dla konwersacji bardzo dobre, bo to nawet dziś w modzie.

HRABINA.

Słuchaj więc rad ojca i wstępuj w jego ślady; bo wszyscy oddają mu sprawiedliwość, że godność osobistą posiada w wysokim stopniu, urząd zacie piastuje, tytuł z powagą nosi . . . . wierzaj mi synu, to dla ciebie wzory, a zaś zapatrując się na tych demagogów, niedaleko zajdziesz.

HRABIA.

A nakoniec te wszystkie bzdurstwa, są to wymysły hołoty . . . . znajdź mi jednego dobrze urodzonego, porządnego obywatela, nawet dobrze stojącego w interesach który by się w to wdał.

HRABINA.

Święta prawda, a zwłaszcza dla ciebie mój synu, bo ty będąc ostatnią latoroślą i dziś jednym re-

prezentantem świetnego domu Hrabiów Puzonów, powinieneś nie uronić jego godności, podtrzymać fortunę, która jak ci wiadomo nie jest w najlepszym stanie.... Lecz świetne imię jest także bogactwem, i przez ożenienie możesz co do majątku jeszcze wyżej stanąć od ojca; dziś w rękę parweniuszów ogromne fortuny, a głośnie imię Puzona pokryje i zmyje wszelki brud parweniuszowski.

JULJUSZ.

Za marną intratę zaprzedać bicie serca, godność człowieka — i tóż to jest zobowiązaniem pięknego imienia?

HRABINA.

Bredzisz mój drogi, to wolałbyś może żeby Hrabia Puzon siedział na czynszu czy bakałarzował, lub oddał się czemuś podobnemu, co się nie zgadza z godnością urodzenia — z jedyną godnością którą pojąć mogę, bo tych waszych demagogicznych godności nie rozumiem. Smutna konieczność z czasem wybije ci z głowy te banialuki uniwersyteckie, ale wtedy mój synu, może już będzie zapóźno. — Dziś masz młodość, une jolie tournure, dodaj do tego świetne imię, a każda z pocałowaniem ręki, jak to mówią, zostanie twoją żoną — chociażby sędzianka — ma ona wprawdzie za nadto dema-

gogicznego tatka i jakieś dewockie parweniuszowskie wychowanie, ale posag znaczny, przystojna, młoda, a między nami uformuje się. Lecz ty zamiast korzystać z rad naszych, pobratałeś się z tymi chłopami, przyjaźnisz się z chamem, i ta chłopka zawróciła ci głowę, a nie przestając na tém jeszcze kokietuje tych, którzy dla Ewelki mogliby być dobrą partją.... Pamiętaj mój synu i weź to sobie za niezbitą maxymę, że z edukacją nawet cham zawsze chamem, bez urodzenia.

JULJUSZ.

Droga matko, za cóż tak pogardliwie odzywasz się o Janie i Helenie, o ludziach którzy nam dali dowód, że nie potrzeba arystokratycznej krwi i urodzenia aby być zacnym i szlachetnym.... Jan był więcej dla mnie niż bratem, doznałem od niego tyle troskliwości, obrony, opieki, przywiązania, pociechy.... jedném słowem poświęceń na jakie tylko poczciwe serce dla bliźniego zdobyć się może... a wszystko to spełnione ze skromnością, jakby nie wiedział i nie pojmował czém był dla mnie.... Helena od dzieciństwa wierna sługa, więcej nawet, bo jakby anioł opiekuńczy mojej siostry, z pokorą ponosiła za nią kary od jej guwernantek, poddawała się najdziwaczniejszym jej przywidzeniom i zachceniom, była dla niej więcej niż siostrą.

Czém oni oboje byli dla nas, trudno wypowiedzieć, bo świat, u którego czyste bezinteresowne poświęcenie jest rzadkim przejawem, nie wynalazł na to orzeczenia. Pozwólcie rodzice zapytać, cóżesmy im dali za to, co od nich odebraliśmy?

HRABIA.

Wychowanie.

JULJUSZ.

Wychowanie? ... Oni je sami zdobyli ... Jan nie słuchał ani jednej lekcyi, sam prawie wyuczywszy się czytać i pisać, kopiował moje seksterna, odczytywał książki i z nich sam więcej pojął i skorzystał niżli ja, nad którym inni pracowali. Toż samo Helena, któż ją wychował? Byli starania i koszta około ich wychowania? — Wysokie zdolności i rozwinięty umysł oboje wykształcił ... darują mi rodzice moją otwartość, ale ich wyższość nad waszemi dziećmi — a także dowcip i wdzięki Heleny, których na nieszczęście los poskąpił méj siostrze, są przyczyną ...

HRABINA, (przerywając z gniewem).

A co, nie mówiłam że ta chłopka zawróci mu głowę do reszty? .. czy słyszana rzecz aby własną krew ponizać do tego stopnia, porównywając siostrę z chłopką? — Nie, mój synu, moja powinność nakazuje mi raz już zakończyć te romanse

z chłopką, z ujmą czci dla wysokięj pozycyi i imienia twego. — Piękny rezultat tego pobratania się, romanse i emulacya z grafskiemi dziećmi... a to obraza pana Boga, zguba naszych dzieci! Otóż to twoja powolność Hrabio, rób sobie co chcesz z Janem, a ja z tą wiejską pięknoscią sama po swojemu poradzę.

(Muzyka gra kontradansa za sceną.)

JULJUSZ.

Ależ moja matko, miej wzgląd....

HRABINA.

Dość tego mój synu, będę nieubłagana, bo to dla waszego dobra.

---

## SCENA X

POPREDZAJĄCY, — HELENA (wchodząc postrzega Hrabinę : staje pomieszana).

HRABINA (opryskliwie).

No i po cóż tutaj, pokorna trusiu?

HELENA (pomieszana).

Ja pani Hrabino, przyszedłam... szukam właśnie Hrabiego Juljusza.

HRABINA.

Za nadto go szukasz... oto proszę, co pannie zapachło! — Cóż to, Hrabia Juljusz twój równy, że za nim tak gonisz, he?... Pora już znać mores, mościa panno.

HELENA (nieśmiało).

Tańczę z Hrabią Juljuszem tego kontradansa...  
wszyscy już stanęli i na nas czekają, więc chciałam  
go odszukać, nie spodziewając się żeby w tém co  
było złego.

JULIUSZ (podając rękę Helenie).

Zatém nie dajmy na siebie długo czekać.

HRABINA (do Heleny).

A to co za poufałość, w mojej obecności z pa-  
niczem pod rękę.... Zostań tu!

JULIUSZ.

Pozwól, matko droga...

HRABINA.

Radzę ci Julku, tańcować tego kontradansa  
z inną, we własnym domu należy być grzecznym  
dla gości, a nie bawić się z poddanką.

JULIUSZ.

Matko, dla czegoż mamy uchybiać?...

HRABINA (z gniewem).

Wiesz że zemną niema żartów, więc bądź mi  
posłuszny, jeżeli chcesz uniknąć smutnych na-  
stępstw dla téj twojej...

JULIUSZ.

Jestem posłuszny matko, bądź tylko na nią  
łaskawsza — (cicho do Heleny) muszę uleść obawiając  
się gniewu matki dla ciebie. (wychodzi)

## SCENA XI.

HRABIA, — HRABINA. — HELENA.

HRABIA.

Muszę się pokazać w salonie . . . już czas wrócić niby od choréj (cicho do Hrabiny). Daj dziś temu pokój, zostaw to na potém, jak goście rozjadą się (wychodzi).

## SCENA XII.

HRABINA, — HELENA.

HRABINA.

Uważam że pozyskałaś względy panicza, latasz za nim jak zagorzała.

HELENA (z pokorą).

Pani Hrabino, jeżeli i mam jakie względy u Hrabiego Juljusza, to, o te starałam się nie więcej jak o wszystkie inne.

HRABINA.

Pięknie się tłómaczysz, ktoś by pomyślał żeś aniołek niewinny i trzech zliczyć nie umiesz, kiedy ty tymczasem za daleko sięgasz zuchwalstwem i beczelnością.

HELENA (płacząc).

Czyliż mojem postępowaniem zasłużyłam u Pani Hrabiny na tak poniżające podejrzenia . . . czyli

kiedykolwiek zapomniałam o mojej podrzędnej pozycji w domu Państwa i czyli przekroczyłam za skromne miejsce dane mi z ich łaski?

HRABINA.

Jak tylko wyszłaś z garderoby, już jesteś nie na swoim miejscu... Cóż to, rozumiesz że bale dla ciebie i twego braciszka?... Czy dla ciebie towarzystwo Deputata?.. a dla niego Sędzianka?

HELENA (skromnie).

Nie podobna nie odpowiadać na pytanie, znajdując się w towarzystwie.

HRABINA.

Jest i sentencya, bo ty rezolutna. — Ale powiedzże no mnie, na co się pchać tam gdzie nie jest nasze miejsce... he?

HELENA.

Nie odważyłabym się na to, Pani Hrabino, gdyby Ewelka niezmusiła mnie prawie.

HRABINA (wzrastający gniew).

Co to za Ewelka? czy Hrabianka Ewelina twoja krewna, czy razem chodziłyście na pańszczyznę?.. tego zuchwalstwa jeszcze brakowało.

HELENA.

Gdyby Hrabianka nie zmusiła mnie do tego, abym ją tak nazywała, nigdybym się na to nie odważyła.... wszakże Pani Hrabina od dawna o tém raczyła wiedzieć.

HRABINA.

Dość moja panno, tych poufałości, ja cię nauczę gdzie twoje miejsce.... Wystrojona jak jaka księżniczka.

HELENA.

Hrabianka przemocą prawie tak mnie ubrała.

HRABINA.

A to co nowego, klejnoty, — precjoza.

HELENA.

Zmusiła mnie Hrabianka włożyć.

HRABINA.

Chłopka w złocie! — Zdejm mi to zaraz — (Helena zdejmuje złote ozdoby i składa na stole). Czy to dla was chamów złoto?... (zapalając się gniewem). Słuchaj no ty Olan!.. Olano!.. Słyszysz, już odtąd inaczej nazywać się będziesz.

HELENA (ze łzami).

O Pani, tém imieniem w moich snach dalekich... dziecięcych, jakby anioł mnie woła. — O Pani, dzięki za to imię.

HRABINA.

Będziesz mi się tu rozczułać.... podziękujesz mi zaraz.... Słyszysz Olano, pójdziesz natychmiast na folwark na miejsce Natalki, która wyszła za mąż, doglądać drobiu. Wszystkie te suknie i stroje dla których ciebie nie stworzono, zostawisz w gar-

derobie.... na folwarku dadzą ci inne.... jeżeli nie będziesz pilną, to Deroskórski rozprawi się z tobą.... dość już tych balów.... natychmiast iść na folwark.... (grożąc palcem) A do panny, osobiwie do panicza, wara.... słyszysz.... he?

HELENA (całując ją w rękę).

Słucham Panią Hrabinę.... i dziękuję....

HRABINA (odtrącając ją gwałtownie).

Idź precz z chamskimi tandresami.... na folwark (odchodzi).

### SCENA XIII.

HELENA

(sama, zamyślona przez chwilę, poczem z wypogodzonym obliczem, mówi w uniesieniu.)

O tak! Włóżę tę szatę, którąś ty matko nosiła w pracy i pokorze.... ten strój nasz narodowy nędzy i wytrwania. — O matko, tyś mnie osierociła w niemowlęctwie, jam ciebie nie widziała — ale czuję ciebie sercem — widzę przeczuciem oblicze twoje zgnębione uciskiem i nędzą, opromienione wytrwaniem i poświęceniem. — O, tak matko, już ja nie Helena, ja twoja Olana.... Dźwięczy mi w duszy twój głos, wołający mnie tym imieniem... i jakbym pamiętała że czasem

na chwilę przybiegałaś do mojej osieroconej ko-  
 łyski ucałować twoją Olanę, a na to imię wyję-  
 czone twą uciśnioną piersią, wyciągałam do ciebie  
 drobne rączęta — (klęka) To ja teraz, ja twoja  
 Olana, błogosławię cię matko, męczennico na ziemi,  
 aniele w niebie — (zakrywa twarz rękoma).

#### SCENA XIV.

HELENA, — JAN.

(wchodzi — postrzegając klęczącą Helenę zachmurza się).

JAN (dotykając ją po ramieniu).

Siostró, ty cierpisz?

HELENA (wstając).

Nie bracie, płakałam wprawdzie, ale z radości.

JAN (ponuro).

Radość... radość dla ciebie w tym domu?...  
 O nie siostró, z pod tych dachów nie radość na  
 nas i nasze chaty, ale ucisk i udrczenie wychodzą.

HELENA.

Oni są dobrzy, może czasem popędliwi.. a ty  
 dziś jakiś posepny i wszystko widzisz w złém  
 świetle.

JAN.

Widzę wszystko w tém świetle ciemności i uci-  
 sku, jaki braci moich otacza. — Napróżno mnie

zwodzisz siostrę, powiedz co ci jest? ... Wszakci ja twój jedyny powiernik na tym szerokim świecie.

HELENA.

Pani Hrabina kazała mi iść na folwark zastąpić Natalkę i zrzucić te suknie, których moja matka nie nosiła ... nie prawdaż?

JAN.

Więc cię wypędzają haniebnie, dawszy ci wprzód zakosztować téj rokoszy ich rozpustnego życia; wezwyczajwszy cię do tego stroju, teraz chcą cię przywdziać w łachmany ... osypywali cię zbytkiem, rozwinęli ci umysł, ażebyś z większą goryczą połykała łzy nędzy i upodlenia ... Biedne dziecko! zapóźno się dowiesz przez smutne doświadczenie, że kiedy ci ludzie podadzą tobie słodycz, to na dnie naczyń umieszczą tyle goryczy, że ci całą przyszołość zatrują.

HELENA.

Nie myśl tak bracie, jam rada i szczęśliwa, ja się zbliżę do moich — prawda że tu część życia spędziła, lecz tam przy nich serce moje zostało. — Wszak nie raz zazdrościłeś im ich nędzy, mówiąc że twoja dusza rwie się do tego ich krwawego życia.

JAN.

Ja co innego, jam silny, a tyś dziecko ... ja czuję że mam rękę do sochy i do lemiesza, a serce

w piersi do wytrwania... ale ty słaba istoto! ty zginiesz jak twoja matka pod ich uciskiem... Matka twoja umarła za młodu, z rospaczy że jój niemowlę, ciebie siostrzo, oderwali od macierzyńskiego jój łona — bo dla chłopskiego dziecka koza była piastunką, a chłopki trzeba było żeby ich Grafiątko wykarmić.

HELENA.

Bracie, taką już Bóg sądził nam dołą!

JAN.

A ojciec nasz umarł zбитy za to, że twoja matka wykradła się raz dać tobie piersi, przytulić własną sierotę do macierzyńskiego serca... za karę tój zbrodni zbili Semena... bo dworskiej mamki bić nie można było, żeby nie zachorowało grafskie dziecię. — Zamęczyli ci matkę i ojca, i ciebie zgniota, słaba dziecino! —

HELENA.

Wierz mi bracie, jam szczęśliwa wracając do swoich. Mój stan i urodzenie szanuję, i cenić umiem godność pracy i wytrwania — czuję tę ich krew silną krążącą w mych żyłach, ja szczycę się tём urodzeniem, jak oni swojém — (pogląda na portrety). O, nieraz o tём myślałam, gdybyśmy mogli mieć nasze familijne portrety, odbijające te oblicza ojców naszych z wyrazem wytrwania i pokory, ogorzałe

ich twarze, ręce zapiekłe od pracy, w oczach łagodność i zgodzenie się ze złym losem — a ich niewiasty z obliczem wiary, pokory i poświęcenia — czy nie lepiejby wyglądały takie obrazy, niżeli te napuszone oblicza ze wzrokiem dumy i pogardą na czole! — O bracie, dziś dzień najszczęśliwszy dla mnie, bo ja wracam do swoich, przy których moja dusza została — ja unoszę ciało dla połączenia z duszą i życiem... to dzień odrodzenia... dzień zmartwychwstania!

JAN (przyciskając ją do serca).

O droga siostrzo, teraz poznałem że te ich obrażenia o krwi i urodzeniu, nie są urojeniem i przesądem — bo ty godna jesteś krwi twoich przodków.

---

## SCENA XV.

HELENA. — JAN. — JULJUSZ.

JULJUSZ (wchodząc).

Cóż to, wy uciekacie od balu? Właśnie szukam cię, Heleno. —

HELENA.

Panie, nie szukajcie mnie więcej, uważajcie mnie dla siebie za nieodszukaną zgubę. —

JULJUSZ.

Nierozumiem cię.

HELENA.

Pani Hrabina kazała mnie być na folwarku.

JULJUSZ.

Znów nowa popędliwość mojej matki, biedna Helena.... ale jakoś to się przerobi.

HELENA.

Wasza matka, Panie, nie łatwo zmienia co raz postanowi... lecz ja się na to nie skarżę, owszem cieszę się że znów zostanę sobą, że wrócę między swoich tam, z kąd obym nigdy była nie wychodziła.

JULJUSZ.

Ja tak czułem się szczęśliwym przy tobie, moja droga... a ten cios rozłączenia, który obojętnie przenosisz, mnie zabija.

HELENA.

Panie, wszak nasze stanowiska Bóg nie razem oznaczył — moje tam gdzie nędza, praca i poddanie się... dla was, Panie, bogactwo, roszkosz i władza. — Wy Pan, a ja wasza poddanka.

JULJUSZ.

Heleno, czyliż moje z tobą postępowanie, mój sposób myślenia... a nakoniec moje dla ciebie uczucia, których dłużej taić nie mogę, dają ci prawo tak mówić — <sup>(klęka)</sup>. O aniele mój! tyś moją Panią, ja u nóg twoich chcę pozostać na zawsze.

JAN

(podnosząc Juljusza staje między niemi).

Panie, wstrzymajcie się — gdyby to Hrabina spostrzegła, to gorszy los niż jej matki czeka moją siostrę. — Nie — między wami uczucie takie być nie może... między wami jest niezgłębiona przepaść, w której ona, ta słaba istota, pograży się i zginie.

HELENA.

Panie i ja was błagam o litość nademną. — Może i ja niebaczna podniosłam wzrok mój za wysoko, na ciebie... ale jeżeli masz jakie uczucia w sercu, w imię tych uczuć błagam cię, opuść mnie... pozwól mnie... pozwól mnie uciec przed tobą.

JAN (n. s).

O nieszczęśliwa!.. ona go kocha.

HELENA.

Panie, — pajęczyna, liść drżący jesienny silniejszy czasem od serca kobiety. — Panie, to ja błagam litości... błagam was o zapomnienie.

JULJUSZ.

Nie, to napróżno... tak być nie może...

JAN (stanowczo).

Więc jakże być ma? Dla was zabawa z uczuć słabiej dziewczyny... a dla niej hańba, łzy i poniżenie. — Znam waszą ofiarę do urojonój wiel-

kości, aby potem z tych wyżyn głębiej ją pograżyć, skoro wam się naprzykrzy, w przepaść wstydu i poniżenia.

JULJUSZ (biorąc go za rękę).

Janie, bracie mój w obliczu nauki i wykształcenia... bracie przez swoje dla mnie poświęcenie i miłość, czyliż dałem ci powód abyś mnie tak krzywdził?... czyliż wierzyłem kiedy w przesady kast, krwi i urodzenia?

JAN.

Stójcie! dziś przekonałem się, że nie są to przesady; masz dowód: moja siostra, to słabe dziecko, z radością rzuca wasze roskosze i zbytki, i spieszy w objęcia nędzy i cierpień. — Co ją tam prowadzi? Oto idzie za głosem krwi płynącej w jej żyłach. — I w tobie krew odezwie się z czasem, przygasną namiętności, a ich tymczasowa igraszka pójdzie u ciebie w zapomnienie, a u różnych sobie w urąganie i poniewierkę. Z namiętności wywiążą się naganne następstwa, którym słabe serce dziewczyny oprzeć się nie zdoła i ona nieszczęsna stanie się ofiarą.

JULJUSZ.

Miałeś czas poznać mnie dotąd, żebyś mnie tak źle sądził — a gdy jest uczucie prawe i święte

w szlachetném sercu, to nie prowadzi do zguby, lecz do ołtarza.

JAN

Do ołtarza między równymi, a w razie nierówności do łez i wstydu dla niższych. — Chcę tobie wierzyć Juljuszu... ale sam powiedz, czy zmierzyłeś głębokość twych uczuć? czyli ci wystarczy sił do stoczenia walki z przesądem świata, a nawet w danym razie ze sobą samym? — Nie, ona tego poświęcenia wymagać nie może... ty zaś dla niego nie jesteś dość silnym. Opuść ją na zawsze, ona z czasem pracą zagłuszy głos serca — ty się pocieszysz zbytkiem i rozkoszą. — Wszystko wam dziś stoi na przeszkodzie: świat, twoja pozycya i rodzice.

JULJUSZ.

Przyznasz że chociaż to nie jest pewnikiem, ale z praw natury wynika, że ja po rodzicach zostanę.

JAN.

Pozwól sobie powiedzieć — że kto uszanował jaką wolą lub prawdę, temu do grobu zostać ona powinna świętą — źle to mówisz — my takich nadziei mieć nie chcemy i nie powinniśmy. — I ja, dziś jedyny opiekun téj sieroty, staję wam na przeszkodzie.

JULJUSZ (biorąc rękę Heleny).

Niebo ani piekło nas nie rozdzieli i przysięgam że prócz ciebie, droga Heleno, żadnej innej nie poprowadzę do ołtarza.

HELENA.

Panie, cofnijcie waszę przysięgę, ja jój nie przyjmę, mnie jój służyć się niegodzi. —

JAN

(rozdzielając ich ręce staje między nimi).

Dzieli was świat i przesady i ja was rozdzielałam na zawsze. — Bo powtarzam ci, siostrze, dla ciebie tu wstyd i zguba! — A was, Panie, błagam, zapomnijcie to biedne dziecię, uszanujcie ją i niekorzystajcie z jój słabości — (klęka). Jesteś moim Panem, błagam cię jako twój sługa: opuść ją na zawsze, nie zatruwaj jój życia, odsuń od niej gorzki hańby i wstydu! A nie przymuszaj mnie abym kiedyś został mścicielem téj niewinnój istoty.

JULJUSZ

(podnosząc go staje między nimi, bierze ich ręce).

Droga Heleno, Janie bracie mój! czas was przekona że jestem was godzien. —

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

## AKT DRUGI

### OSOBY.

OLANA, lat 22.

HRABIA JULJUSZ PUZON, marszałek powiatowy, lat 28.

JAN, lat 29.

DEROSKÓRSKI, ekonom.

KOZACY DWORSZY.

Wnętrze chaty Olany — sprzęty proste; ława, stół i kilka stołków — tu i ówdzie kwiaty w doniczkach — drzwi główne po środku — z boku okno.

### SCENA I.

OLANA

(sama — ubrana po wiejsku — smutna, blade).

Sama jedna na świecie z jego obrazem w duszy, z myślą o nim i z tęsknotą... o jak powoli dni moje się przędą... a on?... on zapomniał o mnie — na świecie dla niego są weselsze, hoże jak wiosna, szczebiotliwe dziewczęta jak ptaszki...

co mu po biednej pustelnicy, która na chwilę odżyje pod jego wzrokiem, jak kwiat na słońcu — a potem zamiera na długo, owiana chłodem zapomnienia — (zbliża się do okna). O, jak ponuro szumią te drzewa, liście pożółkły... i im już brak słońca, i od nich światło w dal się usunęło — (kładzie rękę na sercu). O, tam wędnie i krzepnie, — gdzie ty słonko moje? (urywa kilka kwiatów z doniczek, kładzie we włosy i przypina do piersi). Towarzysze biednej pustelnicy, wy tu zwiędniecie... już tam jesień zajarzała!... Ale gdyby on wrócił, niech choć na was popatrzy... mnie już nie pozna — (bierze ze stołu małe lustro — przygląda się). Wiatr jesienny zawiał... zasuszył jagody, zmiotł kwiaty... zostawił lodygę chylącą się ku ziemi — (kładzie na serce kwiat kaliny). Kwiat kaliny, mówią ludzie że to kwiat miłości, tu go położę, niech mi serce odżywi. —

### ŚPIEW.

O mój kwiecie, mój miłosny  
 Kwiatku nie zawiędy!  
 Czemu się do mojej wiosny  
 Dni jesieni wprzędły?  
 Słyszysz, słyszysz, jak tam stuka.  
 Jęczy i kołace....  
 To kwiat uschły słońca szuka,  
 Za swą wiosną płacze.

Gdy zbłąkana gołębicą,  
 Zawodzi tęsknotą —  
 Zmilkną pieśni, zwiędną lica —  
 Choć Bóg nad sierotą!  
 Jam to ciebie hodowała,  
 Kwiateczku kaliny,  
 Myła łzami i pytała:  
 Gdzie jest mój jedyny?

---

## SCENA II.

OLANA, — JULJUSZ.

JULJUSZ

(wszedłszy podczas ostatniej strofy zasuwa drzwi na rygiel, po ostatnich słowach podchodząc do niej bierze ją w pól).

Tu przy tobie, drogi aniele!

OLANA (pada w jego objęcia).

Mój Panie, słońko moje... ach! ja biedna wiedziałam, że ciebie nakoniec wypłaczę sobie choć na chwilkę.

JULJUSZ.

Dla czegoż to śpiewasz tak smutnie, moja droga?

OLANA.

Smutnie... Wy słyszeliście?... gdybym mogła przeczuć że usłyszycie, śpiewałabym wesoło... ale moje słońce było daleko... teraz ja znów odkwi-

tnę dla ciebie... przebac, bo to tak dawno patrzyłam w te oczy, że już miarę czasu straciłam — (patrzy mu w oczy).

JULJUSZ.

Interesa, moja droga, zatrzymały mnie dłużej nad spodziewanie — (głaszcze ją).

OLANA.

Nic nie chcę pamiętać — ty przy mnie, już ja żyję na nowo.

JULJUSZ (przygląda się jej — n. s.).

Zmieniła się.

OLANA.

Panie, wy na mnie tak patrzycie?... prawda, biedna Olana, wyschła.. brzydka... ale wasza Olana taka sama jedna bez was! niech no ja się na ciebie napatrzę, mój jedyny, nagrzeję się przy twoim wzroku.

JULJUSZ (d. s.).

Zbrzydła trochę — zawsze jeszcze dość przystojna — (gł.) Czemuż to ty byłaś samotna?

OLANA.

Samotna? Widzicie co jest moim światem, wy Panie... bez was ja wszędzie sama... ja osierocona... żyć bez ciebie zapominam.

JULJUSZ.

Nudziłaś się biedaczko, trzeba było posłać do dworu po książki — pójść na wieś bawić się z dziećmi, pielęgnować kwiaty — ty tak lubisz dzieci i kwiaty.

OLANA.

Ja się nie nudzę, ja tylko tęsknię do was, bo w waszój nieobecności myśl moja z wami. — A czytać już się oduczyłam, bo te wasze książki takie często kłamane, takie posępne, jak te w nich czarne litery rzędem poustawiane — Czasem zabiegały dziatki do lasu po orzechy lub grzyby — starałam się przynęcić je to jakiémś cackiem, to błyskotką, ale nazywają mnie Panią i niechęcą się zbliżyć do mnie — ludzie mną pogardzają, stronią od biednej pustelnicy — kwiaty więdną od mego dotknięcia... ale ja ich wszystkich nie chcę, nie żądam... dla mnie świat cały w tobie... w tych oczach!

JULJUSZ.

A twoja stara Oksana?

OLANA.

Poszła do poblizkiej wsi na praznik — ja często ją wysyłam — bo ona taka rzeźwa staruszka, obawiam się żeby przy mnie nie zgrzybiała. — (słychać lekkie poruszenie za drzwiami, jakby chciano otwierać.) Ktoś stuka?

JULJUSZ.

To koń mój którego uwiązałem przy drzwiach, niecierpliwi się — Istotnie żal mi cię, biedna samotnico.

OLANA.

O, nieżałujcie mnie Panie, teraz ja bardzo szczęśliwa — przy was jak by mi czarodziejską ręką wymazał kto dni tęsknoty i smutku — (lekkie poruszenie do drzwi) Ktoś stuka. — Oksana dziś nie wróci — kto by to był?

JULJUSZ.

(siadając na ławie przeciw okna).

Wydało się tobie, — Chodź tu, moja droga, uspokój się na mojem sercu — (przyciąga ją, sadza koło siebie — ona składa głowę na jego piersi).

OLANA.

Ach! czy to nie sen tylko? O Boże! ja byłam umarłą i znowu żyć zaczynam!

JULJUSZ.

Ale jak tu twardo; gdzie te meble które ci dałem?

OLANA.

Wybaczcie, Panie, zmieniłam ja na te sprzęty których widok zbliża mnie do pamiątki o moich. — O, gdzie to oni? biedny Jan, on jeden z moich pozostał; kiedy go nakoniec obaczę?

## SCENA III.

OLANA, — JULJUSZ, — JAN.

JAN

(wchodzi przez okno, w chłopskim stroju, z brodą).

Jestem siostró! drzwi zamknęliście, znalazłem inną drogę.

OLANA

Ach! (zrywa się z siedzenia)

JULJUSZ (srogo).

Co to za śmiałość? ... Co znaczy to zuchwałe i niewczesne wejście?

JAN.

Głos sumienia wciska się wszędzie, nie wymaga roztwartych podwoi, ani bitych gościnców — ja śmiało wchodzę do was nie pytając którejdy ... ja jestem głos sumienia. Nie mam czasu dróg wyszukiwać, spieszę wyciągnąć z toni tę nieszczęśliwą istotę, jeżeli czas jeszcze ... o, bodaj by nie było za późno!

OLANA.

Ach! (zakrywa twarz rękoma)

JULJUSZ (hamując się).

Powierzyłem tobie mój kochany, zarząd dóbr moich poleśkich — jakim więc prawem odjechałeś od obowiązku, nie zawiadamiając mnie wprzód o tém i nie zdając rachunku?

JAN.

Kiedy wam starczy serca mówić o tém w tém miejscu — powiem w dwóch słowach, że przed czterema laty, po śmierci waszych rodziców, nie się wam z tych dóbr nie należało — dziś zaś nie na nich nie ciąży — byt chłopów braci moich najlepszy, a czystej gotówki sześć tysięcy wpłynęło z tamtąd do waszej kassy. — Któż to sprawił? Patrzcie na tę twarz ogorzałą, na ręce krwią zaszcze od pracy. — Póki tam byłem, mieliście więcej jednego niezmordowanego pracownika. — Mój rachunek skończony — nie uroniłem dobra waszego . . . nie przyniosłem wam szkody. — A teraz, Panie, was się zapytać ośmielę, cóżeście zrobili z tém jedyném mojem dobrem na ziemi które wam powierzyłem? (wskazuje na Olanę).

JULJUSZ (pomieszany).

Dziwne pytanie . . .

JAN.

Ja wam zdałem sprawę z powierzonego mi dobra, a toż moje jedyne mienie na ziemi . . . ta droga spuścizna po moim ojcu — siostra kochana — Panie, nie oddałbym ją za żadne bogactwa ziemi — (pauza). Panie i wy milczycie?

JULJUSZ,

Cóż ci mam powiedzieć? . . . to zabawne . . .

JAN.

Zabawne dla was!.... mnie krwią serce zapływa!.... Popatrzcie na jęj wynędzniałą twarz, na przygasłe rumieńce... o biedna siostró, takąż to młodość i szczęście, krwawym ci okupiłem trudem?

OLANA (rzuca się w jego objęcia).

Bracie mój!

JAN (ze łzami).

Pamiętacie, kiedym u nóg waszych, Panie, błagał o litość dla tęg dzieciny, nazwaliście mnie bratem, jam zasługiwał na to imię przez braterskie dla was poświęcenie. — Imieniem więc brata pytam was o krew moję, o to jedyne moje dziecię?

JULJUSZ (dumnie).

Napróżno czas tracimy, bo zdaje się nikt, a tém bardziej ty, mój kochanku, nie masz prawa słuchać mnie żadnych rachunków....

JAN.

Ha!.... poznają cię, nieodrodny synu swego plemienia!....

JULJUSZ (ukrywając gniew).

Mój Janie, mówisz do mnie tonem niewłaściwym, jednak nie mam serca gniewać się na ciebie, bo winienem ci wdzięczność, żeś około mego dobra pracował, istotnie dokazałeś cudu oczyszczając ten

majątek — zatem te sześć tysięcy słusznie tobie należą — daję ci je.... a nadto uwalniam cię nadal od wszelkich powinności — spodziewam się powinieneś być kontent?

JAN (z godnością).

Z waszój to ziemi, wasze dobro, zachowajcie je.... ja za to nic nie mam do przedania.... mając ręce do pracy my niczyją krwią nie frymarchym.

JULJUSZ (zapalając się).

Mój kochanku, dość tego, zapominasz się....

JAN (z energią ale spokojnie).

Wyście panie, może się więcej zapomnieli.... a pamiętajcie wasze słowa, kiedy przed pięć laty podniosłem was klęczącego u nóg mojej siostry — „przysięgam że prócz ciebie, droga Heleno, żadnej „innój nie poprowadzę do ołtarza“ — a wyście już może zaprowadzili ją w przepaść hańby i upodlenia?.... Wtenczas właśnie, kiedy krwawym moim potem oblewałem twoję ziemię. — Cóżes uczynił z mojm dobrem powierzonym ci pod rękojnią przysięgi? Oddaliłes mnie od niój, przyrzekając święcie szanować ją jak siostrę — ja wam ufałem! — Takież to są wasze przysięgi?.... A teraz odosobniłes ją od świata, aby tém łatwiej korzystać ze słabości niewinnój dziewczyny.

OLANA (rzucając mu się do nóg).

Bracie!.... miej litość!....

JAN (podnosząc ją).

Tak, mam litość, ale dla ciebie tylko, nieszczęsna sieroto!....

JULJUSZ (pogardliwie).

Mój kochanku, masz na to dość rozumu, a nawet wykształcenia, żebyś pojął, że co mówił, gdyby nawet z przekonania, młodzik który zaledwie strzeptał kurz uniwersyteckiej ławki, trudno aby to samo zdanie podzielał dojrzały już Hrabia Puzon, następca świetnego imienia, tytułu, dóbr a nawet urzędu swojego ojca.

JAN (wybuchając).

I jego nikczemności....

JULJUSZ (w uniesieniu).

Janie hamuj się, bo każę cię....

JAN (przerywając z ironią).

Na nieszczęście sam tu jesteś!

OLANA (n. s.)

O nikczemny! — a jam go kochała — (do Jana)  
Bracie, na miłość Boga, wstrzymaj się!

JULJUSZ (drży z przestachu).

JAN.

Drzysz?.... zbójcą nie jestem, ale do końca będę głosem twojego sumienia!.... O, poznaję



cię teraz, nieodrodny synu twojego ojca: gdybyś miał tu ludzi, gniłbym już odtąd w twoich turmach, pastwiłbyś się nademną.

JULJUSZ (słodko).

Mój dobry Janie, ja zawsze chcę widzieć w tobie towarzysza moich lat młodych — a dla tego proszę cię, raz to zakończmy.

JAN.

Zakończmy? Czas był zakończyć ten krwawy szereg ofiar, którym stała się nasza dla was rodzina.... Ale nie dość ci było na tém, że matka Olany odrywając pierś macierzyńską od ust zgłodniałych własnej sieroty, którą zmuszono ją powierzyć staraniom kozy, wykarmiła tą piersią twoją siostrę; a potem umarła z żalu — że nasz ojciec wyzionął ducha pod waszą chłostą.... że ja nakoniec poświęciwszy ci całą mą istność, krwawą pracą bronilem twego mienia od zaguby.... Nie dość na tém, potrzeba jeszcze wziąć chłopkę w plugawe swe objęcie i uczynić ją igraszką swęj rozpusty! — Jako Hrabia Marszałek, zapominasz co mówił młodzieniec — lecz ja pamiętam co powiedziałem przed pięciu laty, zebrząc u nóg twoich wraz z siostrą: zapomnienia, litości i oszczędzenia hańby téj sierocie. — „Nieprzymuszaj mnie abym kiedyś został mścicielem téj niewinnéj istoty“ —

te były moje słowa — (groźnie) a teraz oto mnie masz . . . . stoję przed tobą.

JULJUSZ (przestraszony).

Powtarzam ci kończmy . . . wszak ci dawałem . . .

JAN (z pogardą).

Dawałeś złoto? Precz z twojém złotem, ono zbrudzi ręce uswięcone pracą! . . . . Naprzód wiarolomną przysięgą kupowałeś łatwowierność biednej dziewczyny, a resztę chcesz opłacić złotem? . . . . Gardziliśmy twoją przysięgą, gardzimy twojém złotem i tobą, podły, nikczemny! . . . .

JULJUSZ (w niepohamowanym gniewie)

Precz ztąd, bo mi brak cierpliwości; nie narażaj się na gniew mój, który cię wszędzie doścignie!

JAN (zimno — szyderczo).

„Janie bracie mój w obliczu nauki i wykształcenia; bracie przez swoje dla mnie poświęcenie i miłość“. Tak te same usta przed pięć laty brzmiały słodyczą z judaszowskim uściskiem. — Wasze plemię podobne do drapieżnych zwierząt, póty łagodne ich szczenięta, póki im nie urosną pazury — (zapalając się) Nadeszła chwila, jedyna w mém życiu, chwila którą nową mi podłością odpłacisz . . . . Lecz teraz ty drzyj przed moim sprawiedliwym gniewem . . . . i wychodź póki czas! —

(przysuwając do siebie Olaną) Niegodzien jesteś znajdować się w jej przytomności.... Wychodź! —

JULJUSZ.

Zuchwalcze!.... opamiętaj się! —

JAN (przystępując z determinacją).

Wychodź... powiadam!

JULJUSZ (wychodząc spiesźnie).

Pożałujesz tego, zuchwały chamie!

#### SCENA IV.

OLANA. — JAN.

OLANA.

I ty się nie obawiasz jego zemsty? Bracie, ja lękam się o ciebie.

JAN.

Bądź spokojna, siostró; wyszedł z gniewem w sercu.... nieprzeczę.... lecz czyliż dopuści się podobnej podłości, aby się mścił za to, że mu przeszkodziłem dopełnić jeszcze jedną zbrodnią.... pastwić się nad twoją słabością.... uchodźmy ztąd siostró.... jeszcze czas!

OLANA.

O, niestety, bracie, już zapóźno.... ty mnie odepchniesz od siebie, bo jestem ciebie niegodną...

ja nie śmiem podnieść myśli do wspomnienia  
o mojej świętej matce!.... jam shańbiona.... ja  
będę matką!.... (ukrywa twarz na jego piersi.)

JAN.

Odepchnąć ciebie, biedne dziecię, niewinną  
ofiara ich podłości!.... ciebie.... nad którą opiekę  
poprzysiągłem umierającemu ojcu (przyciskając ją do serca)  
— O nie.... pójdz tu do tego serca bijącego pod  
zgrzebną koszulą, tu dla naszych pociecha i współ-  
czucie!.... bo od tamtych dla nas tylko ucisk  
i poniżenie.... O, gdybym był wiedział, że za-  
późno przybyłem ratować cię.... pomściłbym twoje  
krzywdę.... omyłbym krwią nikczemnego, twoje  
hańbę.

OLANA.

Bracie!.... chciałbyś go zabić....

JAN.

Dobrze się stało że nie splamiłem się zbro-  
dnią.... śnać już nam sędzono cierpieć i wy-  
trwać!.... Podli, nikczemni!.... oderwali pokarm  
matki od ust spragnionej dzieciны.... a z głowy  
tego dziecka zdarli wieniec wstydu i zacności —  
(podnosząc wzrok do góry) O Panie, przepełnia się czara  
goryczy!

OLANA.

Bracie, jam winna!.... lecz jakaś niewidoma siła ciągnęła mnie dotąd ku niemu.... ja przestałam być sobą.... ja nim żyłam i przez niego.... oprzeć mu się było nad moje siły!....

JAN.

Może wierzyłaś jego przysięgom?.... poznaj ich prawdę, nieszczęśliwa istoto!.... On się zaręczył.... bo Panom trzeba złota na życie.... a serca na igraszkę!

OLANA.

Przed chwilą jeszcze możeby ta wiadomość raziła mnie gromem.... lecz teraz w jednej chwili potargał on wszystkie węzły nasze.... wszystkie struny mojego życia.... wierzę tylko w złość jego i dla tego drzę o ciebie, obawiam się jego zemsty nad tobą.

JAN.

Nie obawiaj się siostrzo, dość ma krwi naszój, aby jój jeszcze zapragnął.... Uchodźmy ztąd, ukryjmy nasz wstyd gdzieś daleko.... wrócę do braci Poleszuków, oni mnie pokochali.... a praca osłodzi nam gorzkie wspomnienia....

(Wychodzą razem — w drzwiach spotykają Deroskórskiego i kilku Kozaków, jeden z nich trzyma kajdany.)

## SCENA V.

POPZEDZAJĄCY. — DEROSKÓRSKI. — KOZACY.

OLANA.

Ach! (przestraszona chwyta konwulsyjnie za ramię Jana.)

DEROSKÓRSKI (z przekąsem).

A ty tu ptaszku! Mam cię nareszcie....  
 dawno to ja miałem chrap na ciebie, Paniczyku....  
 bo to ty nie przyznawałeś władzy ekonomicznej....  
 za pan brat z Panami.... (do Kozaków). Włóżyć mu  
 te bransoletki na nogi i ztąd prosto powiozą cię  
 w rekruty....

OLANA.

Ach! (pada bez zmysłów.)

JAN

(spoglądając na nią przez chwilę z litością, jakby siłą odrywa wzrok od  
 niej i zbliża się do Kozaków).

Macie mnie!.... (Kozacy smutni okrążają Jana.)

DEROSKÓRSKI.

A pilnować go dobrze bo to uczony, żeby wam  
 nie dał kominka — (szydreczo do Jana) Szczęśliwej drogi  
 Paniczowi!

JAN

(zawém lecz mężném okiem spoglądając na zemdloną Olanę).

Czuję krew w żyłach.... a wołam mam w sercu....  
 Do widzenia sestro, będziesz pomszczoną! —  
 (Wyprowadzają go.)

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

## AKT TRZECI.

---

### OSOBY.

HRABIA JULJUSZ PUZON, lat 35.

HRABINA, jego żona.

JAN, lat 36.

OFICER.

SZCZUPAKIEWICZ.

DEROSKÓRSKI.

---

Pokój w domu Hrabiego — bogate sprzęty.

### SCENA I.

HRABIA JULJUSZ

(sam — w bogatym szlafroku i krymce, z sygarem — siedzi i przechadza się na przemian).

Moi świętej pamięci rodzice, byliby ze mnie kontenci, bo nakoniec od dwóch lat jestem szczęśliwym małżonkiem Sędzianki.... mam majątek czysty i kapitały.... Urzędowałem i urzędowałbym dalej gdybym chciał, bo mnie zapraszano — lecz

to mi się naprzykrzyło. — (Ziewa) Co za nuda! Otóż to nasza dola, ... reperujących interesa posagiem! ... jeżdż, męcz się, praw dusery Pannie ... idź w ład rodzicom ... a po długich ceregielach znudziwszy się na śmierć, dostaniesz taką lalę jak moja najwierniejsza, co to ani nagiąć do dobrego tonu ... dystynkcyi nic ... manierów żadnych! ... to czysty Złoty Ołtarzyk chodzący, dobroczynność wcielona ... lata po wsi z medykamentami jak cyrulik ... wiecznie z tém chłopstwem ... po francusku mówić nie chce ... rad nie rad muszę się zamknąć w domu, nigdzie ją pokazać nie mogę, nikogo przyjąć z dystyngowanych ... a jeżeli kto zajrzy, to jakieś same demagogi a na czele ich tatko Sędzia. Dobrze mówił świętej pamięci Hrabia mój ojciec, że ten jakiś tam liberalizm trzyma się tylko hołoty. Jakoś bym ja sobie poradził, gdyby nie ten tatko, który dawszy mi dużo, jeszcze dość sobie zostawił i ma do dania. Ha! jak to mówią: „na czym wozie jedziesz, tego pieśń śpiewaj“; a mój wóz był dobrze podjeżdżony nim się oze- niłem. Jedna szansa, jeżeli Bóg łaskaw zabierze do swojej chwały tatka ... to jakoś ja sobie poradzę z Jéjmością; musi się po naszymu uformować i przestać być Szarótką ... ba, nawet, nie brzydka i nie głupia ... mogłaby być z niej bardzo salo-

nowa kobiecina, gdyby nie ta przeklęta dewocya.  
 (Patrzy przez okno, wzrusza ramionami). Otóż i ona... quelle  
 mise! włóczy się po wsi, otoczona chłopstwem —  
 quel genre! (nieukontentowany przechadza się szybkim krokiem)

## SCENA II.

JULJUSZ. — HRABINA (młoda i przystojna, skromnie ubrana).

HRABINA.

Dobry dzień, mój mężu.

JULJUSZ (n. s.).

Ach co za expressya!... jakoś tak dobitnie  
 wymówiła to: „mężu“ jak kijem w łeb. (Głośno) Bon  
 jour, comtesse, dziś spodziewamy się gości.

HRABINA.

I tatko obiecał także przyjechać.

JULJUSZ (n. s.).

Oj!... dobiła mnie tym „tatkim“. (Głośno) Spo-  
 dziewam się mojej ciotki Szambelanowej; wiesz  
 że to dama dobrego tonu i bardzo obserwująca...  
 ubierz się gustownie, proszę ciebie.

HRABINA (łagodnie)

Czy źle jestem ubrana?

JULJUSZ.

Nie spodziewam się, żebyś mi chciała zrobić ten wstyd, przyjmując moich gości w drelichach... bo nareszcie dziś kilku z moich doczekam się... Wiesz co, chère amie, włóż tę suknię adamaszkową, którą Szambelanowa tak chwali.

HRABINA.

Przepraszam cię, mój mężu, ale uważałam, że na wieś, osobiwie do naszego skromnego towarzystwa, które widzujemy, ta suknia była za bogatą i darowałam ją proboszczowi na ornat; — prawda mężu, że ty nie gniewasz się, że bez twojej wiedzy uczyniłam, ale to na kościół.

JULJUSZ (szydząc).

Ornat z paryskiej sukni kosztownej... któżby tego nie pochwalił, żono? (n. s.) Essencya parafiańszczyzny.

HRABINA.

Nie będziesz się gniewać jak się dowiesz, że poczciwy proboszcz obiecał i na twoją intencją dziesięć mszy odprawić.

JULJUSZ (szydząc).

Aż dziesięć!... tak dużo!... bardzo jestem zadowolniony. Hrabina zapewne już dziś odwiedziła pacyentów... jakże się mają?

HRABINA.

Dziękuję ci za pamięć... Chwała Bogu, dziś dobrze... szczęśliwy dzień; jedna tylko Olana, coraz gorzej biedaczka i oprócz stariej Oksany nikogo nie przypuszcza do siebie.

JULJUSZ.

Waryatka.

HRABINA.

Nie uważam, żeby była zupełnie waryatką... jedna jakaś myśl tylko krąży jój po głowie i smutek osiadł na sercu. Powiadają, że lekarz w Pohrebyszczach doskonale leczy umysłowe choroby, dobrze byłoby udać się do niego, chociaż ja zawsze się obawiam, że to już zapóźno.

JULJUSZ.

Ma chère, co za myśl!... o dwanaście mil sprowadzać dla chłopów doktora... a to zgroza! tego jeszcze nie dostawało.

HRABINA.

Przypomnij sobie, że jak twoja klacz zachorowała, to posyłałeś o mil trzydzieści po weterynarza rozstawionemi końmi.

JULJUSZ.

Inna rzecz. Arabska klacz... kosztowała pięćset dukatów — tego nie możesz pojąć?

HRABINA.

Pozwól sobie powiedzieć bez żadnej złej myśli, że jak mi mówiono, masz względem téj kobiety pewne obowiązki.

JULJUSZ (z ironią).

Nie wiedziałem że Hrabina prócz felczerstwa wiejskiego, trudni się jeszcze wiejskimi plotkami.

HRABINA.

Przebacz mi, mój drogi, ale nie miałam zamiaru obrazić cię, ani czynić wyrzutów...

JULJUSZ.

Nic tu nie masz do wyrzucenia, mówiąc otwarcie, bo możesz pojąć łatwo, chère comtesse, że jeżeli młody panicz adresował się do dworskiej dziewczyny — cela ne tire pas à conséquence — tém bardziej, że to była dziewczyna lekkiego prowadzenia.

HRABINA (n. s.).

Spodziewałam się więcej uczucia. (Głośno) Czy nie uważałbyś mój mężu, aby zająć się losem jéj dziecka... taki miły chłopczyk... sierota...

JULJUSZ (obojętnie).

Cóż to nas ma obchodzić?... Zresztą odziedziczywszy po ojcu smutne dla siebie doświadczenie, że nie warto zajmować się losem tych chamów,

dawać im wychowanie — postanowiłem sobie nigdy się w to niewdawać.

HRABINA.

Ona podobno miała brata?

JULJUSZ.

Zuchwały był cham, oddałem go w rekruty siedm lat temu — to także dworski wychowaniec.

HRABINA.

Mówiono mi, że się odznaczał i został oficerem.

JULJUSZ (niecierpliwie).

Co to nas może obchodzić, ma chère?...

HRABINA.

Jeszcze mam jedną prośbę do ciebie, może choć ta będzie szczęśliwszą. Oto żebyś mi pozwolił naprawić starą oficynę, jabym tam zmieściła kilka łóżek dla moich chorych.

JULJUSZ.

Pardon comtesse, że ten raz ci odmówię.... zechcesz dalej mój salon zamienić na infirmaryą... już i tak Deroskórski skarży się, że nie może utrzymać rygoru, że chłopci zamiast chodzić na pańszczyznę, siedzą po szpitalach. Doprowadziś do tego nakoniec swoją medycyną, że cała wieś co do nogi położy się do łóżka.

## SCENA III.

JULJUSZ — HRABINA. — DEROSKÓRSKI.

JULJUSZ.

A co acan powiesz?

DEROSKÓRSKI

Na górze widać powóz. zapewne goście. Przyszędłem dowiedzieć się, czy nie raczy Jasny Graf przed tém co rozkazać.

JULJUSZ.

Ma chère, idź, ubierz się starannie, bo może to Szambelanowa; ja zaraz pójde ubierać się.

HRABINA (odchodzi).

## SCENA IV.

JULJUSZ. — DEROSKÓRSKI, potem JAN i OFICER.

JULJUSZ.

Co tam słyhać, Panie Deroskórski?

DEROSKÓRSKI.

Nic ważnego, Jasny Grafie. Idąc tu, spotkałem starą Oksanę, doniosła mi, że Olana umarła narzeszcie. Czy Jasny Graf każe dać desek na trumnę?

JULJUSZ (zamyśla się, n. s.).

Umarła! biedna dziewczyna! (Głośno) A co tam w polu... orzą, wyszły wszystkie pługi?

DEROSKÓRSKI.

To się rozumie, Jasny Grafie, wyгнаło się co do nogi.

JULJUSZ (przechadza się w zamyśleniu).

Umarła!... Słuchaj no acan, groble poprawiają?

DEROSKÓRSKI.

Dziś skończy się, Jasny Panie.

JULJUSZ.

To dobrze. A desek rozumie się dać, nawet niech tam zrobią porządnie, bo i tak stolarze teraz nie mają nic do roboty.

DEROSKÓRSKI.

Speśni się, Jasny Grafie. (Kłania się nisko, chce odejść.)

JULJUSZ.

Słuchaj no jeszcze acan...

DEROSKÓRSKI (wraca z pokłonem).

Słucham, Jasny Grafie.

JULJUSZ.

Uważasz... zawsze to ona była... (poprawiając się) to jest, jój matka była mamką nieboszczki Hrabianki mojej siostry. Weźmiesz tam acan, ile potrzeba, i pójdziesz do parocha, żeby Olanę porządnie pochowali. (Daje mu sakiewkę. Wchodzi Jan w oficerskim mundurze, z orderami; za nim oficer.)

JAN

(który słyszał ostatnie słowa, spotyka Deroskórskiego we drzwiach, wyrwa mu sakiewkę i ciska pod nogi Juljuszowi).

Weź twoje pieniądze! Nie poniewieraj trupa mojej siostry podłemi rękoma. Zabraniam go wam dotykać.

DEROSKÓRSKI (cofa się ze strachem, n. s.).

A dla Boga!... Patrzajcie no go, to ten cham, a taki orderowy.

JULJUSZ

(pomieszany, strwożony, ale z układną grzecznością).

To Pan Jan, poznaję, chociaż go zmienia ubiór wojskowy; niechże siada... czém mogę mieć honor służyć?

JAN.

Usłuzysz mi twojém życiem... krótko mówiąc zabiję cię dziś jeszcze w pojedynku; oto jest mój kolega, będzie moim świadkiem. (Oficer kłania się.) Po-  
syłaj po swego.

DEROSKÓRSKI (usuwając się, n. s.).

Oto huncfot cham, jaki zuchwały.

JULJUSZ

(coraz więcej pomieszany, coraz grzeczniejszy).

Ależ Panie... jak to, Pan chciałbyś...

JAN.

Chcę ciebie zabić i pomścić się życia i śmierci mojej biednej siostry. Hrabio Marszałku! prze-

konałem się, że zmieniasz prędko zasady i zapominasz słów swoich; przypomniałem ci przed siedmią laty to, co dwanaście lat temu powiedziałem, dziś to raz jeszcze powtórzę: „Nie przymuszaj mnie, abym kiedyś został mścicielem téj niewinnej istoty.“ Długo bezkarnie pastwiłeś się nad nami, długom téż cierpiał bezsilny, nakoniec wybiła dla mnie godzina zemsty i przychodzę wypłacić dług święty, zmarłej już niestety siostrze. Pański świadek i broń!

JULJUSZ.

Panie... Pan mnie napadasz we własnym domu.

JAN.

Nie napadam na bezbronnego, czekam aż weźmiesz broń do ręki; nie jest to napad, tylko wyzwanie.

JULJUSZ.

Rozważ Pan sam, bój podobny między nami przez wzgląd na nierówność zobopólnych pozycyi...

JAN.

Ha! jeszcze wasza stara piosnka pychy i dumy. Pozycye nasze zrównoważyły się i nie wiem, która wyżej dziś stoi. Ty jesteś zgniłą gałązką spróchniałego pnia, ja zaś młodą latoroślą, która szeroko rozrosnąć się może; tyś gnuśny potomek a ja protoplasta. Gdzież ta nierówność naszych

pozycyi, i na czyją stronę szala się przechyla? Ja krwią własną i męstwem zdobyłem to, co na ciebie rzucił ślepy i niebaczny traf urodzenia. Nie napadam, przychodzę mścić się. Chciałbyś mnie jako napastnika kazać ludziom wyrzucić za drzwi, lecz nie ośmielisz się zadać sobie tego ciosu podłości.

JULJUSZ.

Pan mnie znieważasz i napadasz w własnym domu, będę musiał szukać środków obrony od napaści.

JAN.

Spodliłbyś się do tego stopnia?

JULJUSZ (coraz śmieliej).

Jeżeli Pan mnie nie uwolnisz od swój przytomności, lub nakoniec nie zaniechasz tych obelg...

JAN.

Więc mnie każesz wyrzucić? cha! cha! (Śmieje się szyderczo).

JULJUSZ.

Panie, Pańskie postępowanie przyprowadzi mnie do ostateczności.

JAN.

Przychódź do ostateczności, szlachetny Hrabiol!

JULJUSZ.

Panie, po raz ostatni proszę uwolnić mnie od...

JAN.

Po raz ostatni odmawiam.

JULJUSZ (z energią).

Pamiętaj Pan, że mnie zmusiłeś. (Do Deroskórskiego)  
Zawołać ludzi.

DEROSKÓRSKI.

Natychmiast, Jasny Grafie; (n. s.) dawno tak  
trzeba było z chamem. (Chce odchodzić.)

JAN (dobywając rewolwer).

Stój, ani z miejsca! Pierwszego, kto się ruszy,  
trupem położę. (Juljusz i Deroskórski odskakują przerażeni.)  
Byłem przezorny. Wiedziałem, z kim mam do czy-  
nienia, szlachetni ludzie! (Do Deroskórskiego) Idź, po-  
wiedz, żeby tu nikt nie ważył się przychodzić —  
(pokazując rewolwer) bo rozumiesz!

DEROSKÓRSKI (z głębokim pokłonem).

Rozumiem, Jasny Panie. (Wycofując się za drzwi z ukło-  
nami, n. s.) Szelma cham, jaki imponujący, gdybym  
mógł, tobym mu dał łupnię.

---

## SCENA V.

JULJUSZ, — JAN, — OFICER.

JULJUSZ (n. s.).

We własnym domu, mając tylu ludzi i nie módz  
sobie poradzić... to okropnie!... Co tu począć?

JAN (zimno, z ironią).

Panie Hrabio! plany odporne bardzo pięknie osnute, lecz na nieszczęście zniweczone. (Wskazując na rewolwer) Pański zwykły sposób działania pierwszy raz Pana zawodzi i sam widzisz, że rad nie rad, musisz kończyć inaczej.

JULJUSZ (n. s.).

Aż dreszcz mnie przejmuję widząc tę zimną krew szatańską. (Głośno, z pokorą) Jeżelibyś Pan chciał wysłuchać mnie cierpliwie, starałbym się objaśnić Panu...

JAN.

Ponieważ dziś jeszcze musisz Pan zginąć.... zatem skazanemu na śmierć nic się nie odmawia. (Jan i oficer siadają.)

JULJUSZ (n. s. ze złością).

O, przeklęty chłopie!

JAN.

Słucham więc Pana cierpliwie, a nawet o ile człowiek zbliżony do kresu swój zemsty, z zimną krwią — raczy Pan, nie tracić czasu.

JULJUSZ (n. s.).

Właśnie chcę go jak najwięcej zyskać. (Zawsze stojąc, słodko) Postaram się być zwięzłym i zrozumiałym. Zaszły między nami wypadki, które odmienić ni cofnąć nie jest dziś w naszej mocy, — a jeżeli ja w nich stałem się winien, zawsze jednak moja wina zasługuje na wzgląd, gdyż zgrzeszyłem

nie z własnej woli, a tylko przez moję w świecie pozycją i urodzenie.

JAN.

Czyli urodzenie pozwala Panu nadstawić pierś własną na zmycie winy? . . .

JULJUSZ.

Panię, nie skończyłem; obiecałeś Pan, być cierpliwym do końca.

JAN.

Jestem nim znowu, słucham Pana.

JULJUSZ.

Największa moja wina przeciw siostry Pana, ale to chwilowy zapal młodości; uczucia, zapomnienie, zagłuszyły rozwagę: chciałem tę winę zagładzić, ale wszystkie możebne z méj strony środki odrzuciliście. Sam Pan rozważ: trudno, abym ją był zaślubił, moje urodzenie było temu na przeszkodzie.

JAN.

Czemuż to samo urodzenie nie przeszkodziło, zniszczyć młodość i zatruć życie téj nieszczęśliwej istoty? (Hamując się) Słucham Pana.

JULJUSZ.

Sam Pan widzisz, jak powiedziałem, nie jest w mojej mocy, zmienić zaszłe smutne wypadki . . . jednakże jako ludzie rozumni, możemy przystąpić do układów, któreby dla Pana były z korzyścią.

Ja z mojej strony wszystkie możebne warunki Pana przyjąć kładę sobie za obowiązek.

JAN (wstrzymując się, patrzy pogardliwie).

JULJUSZ (udając rozczulenie).

Co się tyczy biednej Olany, siostry Pańskiej, której zgon wczesny niemniej mnie zasmuca — tej drogą pamięć możemy uczcić pięknym pomnikiem....

JAN

(nie mogąc wstrzymać się dłużej, z uniesieniem).

Dajesz gładz za serce! złoto za hańbę?... bo wy tylko złoto i kamienie macie w piersiach waszych! Serce za serce!... i twoje, jakkolwiek nikczemne, złożę jako zemstę na grobie twojej ofiary! — Krwią zmyję hańbę!... Ta jest cena świętości, które ponizając się, chcesz opłacić twym złotem. Nie miałeś tej pokory siedm lat temu, kiedy mocen pastwić się nademną kazałeś mnie schwytać i skować w kajdany.

JULJUSZ.

Wyznaję, że to uczyniłem popędliwie... ale nie powinieś Pan mieć mi tego za złe, bo mimo-woli stałem się powodem dla Pana do świetnej kariery.

JULJUSZ

Więc takie Pańskie usprawiedliwienie... dość tych ponizających targów i wykrętów, kończmy już.

(Biorąc od oficera parę pojedynkowych pistoletów, podaje mu.) Nie

masz Pan świadka, bez tego obejść się możemy, chociaż broń do mnie należy; lecz ponieważ jeden tylko z tych pistoletów nabity, metęznaczając pierś w pierś, nie będę miał nad Panem żadnej przewagi.

JULJUSZ (n. s.).

O przekłety! jedno mi tylko zostało... ratować się zwłoką. (Głośno, jakby z determinacją) Ponieważ Pan odrzucasz wszelkie rozsądne i możebne układy, zatém służę Panu; jednak nie weźmiesz mi Pan za złe, że nie mając szczęścia znać Pańskiego kolegi, (kłania się oficerowi) bez świadka obejść mi się nie podobna.

#### SCENA IV.

POPZEDZAJĄCY, — SZCZUPAKIEWICZ.

SZCZUPAKIEWICZ (w ubiorze jeźdźca).

Cóż to, u ciebie dzuma czy co?... w całym domu jak wymiotł, ani żywej duszy... No jak się tam miewasz?... (Postrzegając Jana z pistoletami.) Co to, Panowie, macie strzelać do celu... a no to dobrze, bo i ja coś potrafię... znam się trochę na tém!... Ale wprzód obaczmy mojego kasztanka... nie to co mój wilczaty... ale kłus!... (Patrzy na zegarek.) Z domu tu w 27 minut, niech mnie

djabli porwą, nie tylko kłusem... Jak sobie chcecie, ale to pierwszy kłus na trzy gubernie!

JAN (podchodząc uprzejmie do Szczupakiewicza).

Możesz nam Pan stanąć w przygodzie, bo właśnie mamy dziś jeszcze z Hrabią odbyć honorową rozprawę, a mam nadzieję, że Pan jako przyjaciel Hrabiego zechcesz mu służyć za świadka. Jeżeli zaś Pan chcesz wiedzieć powody, to...

SZCZUPAKIEWICZ (przerywając rubasznie).

A na co mi wiedzieć... nie trzeba... pojedynki!... okazała!... dawaj! (Do Juljusza.) Służę ci, mój drogi, niech mnie djabli porwą, będę ci sekundował z całego serca... A no, możeby wprzód obaczyć kasztanka, jedno drugiemu nie przeszkadza.

JULJUSZ.

Ja ci dziękuję, ale...

SZCZUPAKIEWICZ.

Co tam między nami ceremonie... a zresztą kogoż byś wziął na sekundanta?... Niech mnie djabli porwą, toż ja jeden sekundant na całą okolicę; — a no, na trzydzieści mil w koło czy obszedł się bezemnie choć jeden pojedynek?

JAN (przedstawiając oficera Szczupakiewiczowi).

Mam honor przedstawić Panu mego kolegę i świadka. (Do Juljusza.) Panie Hrabio, zdaje się już wszelkie przeszkody usunięte, żądałeś Pan świadka, masz go — nie traćmy czasu.

SZCZUPAKIEWICZ.

A tak, słusznie — bo jak mówią, tylko sér odkładany dobry. A dalej czas będzie i wódki się napić. (Do oficera.) Niech Pan Dobrodziej ułoży kondycye, jak się podoba.

JULJUSZ (przestraszony n. s.).

Djabli przyniesli tego cymbała. (Głośno) Ale Panowie, to być nie może...

SZCZUPAKIEWICZ.

Cóż to, kpisz, bratku?... jak to, być nie może... Niech mnie djabli porwą, musi być; jak tylko ja sekunduję — dla czego nie może?... he?...

JULJUSZ.

Różnica naszych pozycyi i urodzenia... jak Panu przedstawiłem...

SZCZUPAKIEWICZ.

Pleciesz trzy po trzy... Jaka pozycya?... jakie urodzenie?... zdaje się, niech mnie djabli porwą, że wszyscy jedną drogą na świat przychodzimy.

JAN

Jam urodzony w tłumie!... jestem chłopem!... przecież miałem odwagę znosić twoje prześladowania, miałem odwagę nadstawiając własną pierś, krwią własną wznieść się nad innych. A twoje urodzenie pozwala tylko, być niesprawiedliwym, uciskać drugich, zabijać ich podłością... a swoje pierś cofać przed niebezpieczeństwem.

SZCZUPAKIEWICZ (podnosząc głos).

Cóż u stu djabłów Juljuszu, czyś ogłuchł?...

JAN.

Hrabia wiele podobnych rzeczy słuchał już dziś z zimną krwią odemnie.

JULJUSZ (znękanym ostatecznie).

Janie, mój bracie, zaklinam cię na pamięć tych uczuć młodości...

JAN.

Które cię doprowadziły do uwiedzenia mojej siostry, do pastwienia się nademną bezbronnym. Trup biednej siostry woła zemsty!... broń się i brakiem odwagi nie zmuszaj mnie do zbrodni.

SZCZUPAKIEWICZ.

Cóż u djabła!... czy rybia krew krąży ci w żyłach? No, bierz pistolet i stawaj.

JULJUSZ (na pół umarły, jękając).

Janie!... bracie!...

JAN.

Po raz ostatni, broń się!... (Milczenie; Jan porywa Juljusza i rzuca na kolana) Z was każdy pastwiący się nad słabszym, tak się upodli przed silniejszym. Wybiła godzina zemsty dla mnie... a twoja ostatnia godzina. (Podnosi pistolety.)

OFICER (wyrywając pistolety).

Kolego, opamiętaj się! — Zabójstwo! zbrodnia!

SZCZUPAKIEWICZ.

Pal w łeb szelmie kiedy tchórz! niech mnie  
djabli porwą.

JAN.

Słusznie mówisz kolego, zhańbiłbym broń!  
(Z urąganiem.) Ci ludzie z urodzeniem śmierci nie lubią.

SZCZUPAKIEWICZ.

Niech mnie djabli porwą, stchórzył łotr. (Do Jana.)  
Takież to i urodzenie Panie Dobrodzieju; powia-  
dają że jego dziadek przywędrował zkądś... ze  
Szwabii z mydełkami i djabli tam wiedzą czém  
jeszcze... obdarłszy szlachtę, wdrapał się na ich  
dobra, a potem między nich wkręcił się... jednak  
żebym Panu dał dowód, że rodzą się ludzie z krwią  
w żyłach, to ja Panu służę.

JAN.

W każdym razie miałbym to sobie za zaszczyt..  
lecz ja nie szukałem tu burdy — chciałem zemścić  
krzywdy, przez niego moim wyrządzone. Chciałem  
zemścić śmierć mojej siostry, której trup jeszcze  
nie zastygły wołał o pomstę. O, droga siostrze,  
jest mściciel nad nami, Bóg w Niebie!

KONIEC.

# ŚPIEW.

Śpiew.

Kompozyca Michała Zawadzkiego.

*Pianoforte.*

*p* *p* *p doloroso.*

The piano introduction consists of two systems of staves. The first system shows a treble clef staff with a 3/4 time signature and a bass clef staff. The treble staff contains a melodic line with various ornaments and dynamics, including *p* and *p doloroso*. The bass staff provides harmonic support with chords and a steady rhythm.

*p* *sent.*

The vocal line begins with a rest, followed by a melodic phrase starting on a half note. It includes dynamics *p* and *sent.* (sentimental).

1. O mój kwiecie, mój mi-łó-sny, Kwia - tku nie-za - wię-dły! Cze-mu się do  
2. Gdy zbłą-ka - na go - łą - bi - ca Za - wo - dzi tę - skno-tą, Zmilkną pieśni,

*p e ritenuto.* *rr* *pp* *sfr*

The piano accompaniment for the second system features a treble clef staff with a 3/4 time signature and a bass clef staff. The treble staff includes dynamics *p e ritenuto.*, *rr*, and *pp*. The bass staff includes the dynamic *pp*. The music concludes with a *sfr* (sforzando) marking.

mo-jój wio-sny Dnie je-sie-ni wrzę - dły? Słyszysz, słyszysz,  
 zwiędną li - ca, Choć Bóg nad sie - ro - tą! Jam to cie - bie

jak tam stu - ka, Ję - czy i ko - ła - ce. To kwiat u schły, słoń - ca szu - ka, Za swą wio - sną  
 ho - do wa - ła Kwia - teczku ka - li - ny, My - ła ła - za - mi i - py - ta - ła, Gdzie jest mój je -

pła - cze. To kwiat u - schły, słoń - ca szu - ka, Za swą wio - sną płą - cze.  
 dy - ny? My - ła ła - za - mi i py - ta - ła, Gdzie jest mój je - dy - ny.

ppo.      po.      con anima.

*marc.*

5 2

1 5 2

Detailed description: This system contains three staves. The top staff is a treble clef staff with four measures of whole rests. The middle and bottom staves form a grand staff. The middle staff begins with a treble clef and contains piano accompaniment. It features three measures of chords with a '3' above them, followed by a double bar line. The next two measures continue with chords, with 'po.' and 'con anima.' markings. The bottom staff begins with a bass clef and contains a melodic line with a '3' above the first measure, followed by a double bar line. The next two measures continue with a melodic line, with 'marc.' marking the start of the second measure. The final two measures show a melodic line with '5 2' and '1 5 2' markings above it, ending with a double bar line.

*ritenuto.*

*f*

Detailed description: This system contains three staves. The top staff is a treble clef staff with four measures of whole rests. The middle and bottom staves form a grand staff. The middle staff begins with a treble clef and contains piano accompaniment. It features a measure with a '3' above the chord, followed by a double bar line. The next two measures continue with chords, with 'f' marking the start of the second measure. The bottom staff begins with a bass clef and contains a melodic line with a '3' above the first measure, followed by a double bar line. The next two measures continue with a melodic line, with 'ritenuto.' marking the start of the second measure. The final two measures show a melodic line ending with a double bar line.

10.000





BIBLIOTEKA GŁÓWNA  
UNIwersYTETU A.M. w POZNAŃU



1300532